

Janusz Tandecki, Krzysztof Kopiński, *Edytorstwo źródeł historycznych*, Warszawa 2014, Wydawnictwo DiG, ss. 480

Książka ukazuje się w objętej patronatem Instytutu Historii PAN „serii nowej” opracowań poświęconych naukom pomocniczym historii. Czy jednak edytorstwo jest właściwą nauką pomocniczą? Józef Szymański w swym klasycznym podręczniku temu zaprzecza, ale salomonowo umieszcza je jednak, acz osobno, w zakończeniu. Interesująca nas dziedzina nie jest rzeczywiście nauką umożliwiającą poznanie jakiegokolwiek kategorii źródeł, ani też dającą umiejętność, w którą uzbroić powinien się każdy profesjonalny badacz przeszłości. Edytorstwo to raczej sztuka dla wybranych spośród całego cechu historyków, którzy poświęcają swój trud uprzystępnieniu źródeł, z czego korzystać będą wszyscy. Rodzi się zatem kolejne pytanie, czy tak rozumiana sztuka edytorstwa wymaga w ogóle podręcznika, a jeśli tak, to do kogo powinien być on adresowany. Refleksje te wydają się niezbędne dla właściwej oceny koncepcji omawianego dzieła.

Rzecz o edytorstwie była niewątpliwie potrzebna. Brakowało opracowania, które podsumowałoby narastający dorobek doświadczeń, uporządkowało gromadzone spostrzeżenia i pozwoliło wytyczyć perspektywę na przyszłość. O żywotności zainteresowań edytorskich świadczy nie tylko utrzymująca się wciąż (mimo wszystkich narzekani) aktywność w zakresie wydawania różnych źródeł, lecz także coraz bardziej dostrzegalna potrzeba dyskusji specjalistów nad różnymi teoretycznymi bądź praktycznymi aspektami tej działalności. Orientację w starszej literaturze poświęconej edytorstwu zapewniła wydana przed kilkunasty już laty *Bibliografia edytorstwa źródeł historycznych w Polsce* autorstwa Piotra Dymmela (Lublin 2001). Najważniejszym forum wymiany myśli i doświadczeń są cyklicznie odbywane polsko-niemieckie konferencje edytorskie pod patronatem historyków toruńskich. Ich głównym animatorem ze strony polskiej jest Janusz Tandecki, zasłużony wydawca wielu źródeł (głównie pruskich ksiąg miejskich). Teraz on właśnie, wraz z toruńskim kolegą Krzysztofem Kopińskim (też sprawdzonym na polu wydawania źródeł), podjął się napisania syntetycznego podsumowania edytorstwa. Z racji swych dotychczasowych doświadczeń obaj Autorzy są osobami szczególnie powołanymi, by wypowiedzieć się w tej materii.

Obszerne dzieło o edytorstwie dzieli się na kilka części. Pierwszą, jeśli nie liczyć wstępu (s. 7–11), tworzą „Wiadomości wprowadzające”. Otrzymujemy tu najpierw zdefiniowanie edytorstwa, a następnie omówienie jego rozwoju na świecie i w Polsce, przeprowadzone wprawdzie dość zwięźle (s. 15–31), ale też bardzo kompetentnie i interesująco, z umiejętnym wskazaniem głównych linii rozwojowych i kwestii dyskusyjnych. Jako ostatni podrozdział wprowadzenia

dołączono jeszcze prezentację innych „ nauk pomocniczych historii wspomagających wydawców źródeł”. Fragment ten, w spisie treści robiący skromne wrażenie jako paragraf 1.3, został przesadnie rozdęty — obejmuje wszak ponad 80 stron druku formatu A4 (s. 31–114). Pewna refleksja nad „wspomagającymi” dziedzinami, przydatnymi wydawcom (Autorzy uwzględniają tu paleografię, dyplomatykę, sfragistykę, chronologię, numizmatykę, heraldykę i genealogię, co na pewno nie jest listą zamkniętą), była oczywiście potrzebna, ale iść powinna w kierunku namysłu nad ich znaczeniem w edytorskim warsztacie pracy. Nie widzę natomiast żadnego sensu podawania w tym miejscu ogólnych, podręcznikowych wiadomości z zakresu każdej z wyliczonych nauk pomocniczych, włącznie z obszernymi tablicami wzorów dawnego pisma łacińskiego i cyrylicy (s. 35–65), przykładowych skrótów (s. 66–96) czy wzorów zapisu cyfr (s. 96–105). Komu i czemu to wszystko służy? Trudno sobie wyobrazić, aby fachowy wydawca potrzebował tak rudymetrycznych wskazówek. Rozdział 2 prezentuje krótko (s. 115–125) różne „rodzaje edycji” i instrukcje wydawniczych. Prezentacja wydaje się jednak niespójna — o ile bowiem w przypadku edycji chodzi o teoretyczne pokazanie pewnych ich rodzajów, o tyle w przypadku instrukcji otrzymujemy po prostu ich wyliczenie, opatrzone zresztą ciekawymi, krytycznymi komentarzami. Rozdział 3 (s. 126–135) przedstawia zasady postępowania wydawcy na pierwszych etapach jego pracy (kwerenda, krytyka tekstu, kopiowanie z kolacjonowaniem i ustalanie tekstu). Otrzymaliśmy tu rozważania teoretyczne. Ich kontynuację stanowić winien kolejny rozdział 4, poświęcony właściwemu „przygotowywaniu” tekstu do publikacji, co uznać można za następny etap postępowania edytorskiego. Rozdział ten nie kontynuuje jednak bynajmniej rozważań z rozdziału poprzedniego, różniąc się od niego zasadniczo samą koncepcją ujęcia. Otrzymujemy tu bowiem prezentację poszczególnych, wybranych edycji — z informacjami o tym, że dany kodeks dyplomatyczny zawiera tyle a tyle dokumentów, zebranych z takich to a takich archiwów, materiał jest podzielony na pewne części, coś zostało wyodrębnione do aneksu, każda pozycja poprzedzona jest nagłówkiem, a całość opatrzona została (lub nie) indeksami. Podawana w ciągu masa bardzo szczegółowej informacji jest trudna do ogarnięcia i wydaje się w ogóle niepotrzebna. Giną w niej bowiem właściwe ogólniejsze „zasady”, o jakich miała być tu mowa — aczkolwiek w niektórych miejscach Autorzy starają się je wydobywać (np. w przypadku katalogów archiwalnych [s. 148–150] piszą o tym, jak takowe powinny wyglądać, a nie, jak wyglądają). Jasności wywodów nie służy też konstrukcja tego rozdziału, rozbitego na działki chronologiczne (teksty średniowieczne, teksty nowożytny, teksty najnowsze), w ich ramach zaś na poszczególne gatunki źródeł (dokumenty i listy, księgi i akta, historiografia, inskrypcje i tabliczki woskowe, ikonografia i kartografia). Zrozumieć oczywiście trzeba, że każda epoka i każda kategoria przekazów ma swoją specyfikę, wymagającą osobnego omówienia, ale sztywny podział uniemożliwił poszukiwanie wspólnych elementów zasad, jakimi kierować się powinni wszyscy wydawcy. Myślę, że nie miało większego sensu zwłaszcza rozdzielenie edycji średniowiecznych i nowożytnych, które często

niewiele się różnią pod względem podstawowych założeń metodycznych. Zdaje się, że Autorzy ulegli tu presji swego pomysłu omawiania kolejnych wydawnictw (co samo w sobie nie było fortunne), a dla uporządkowania ich wielkiej masy musieli zastosować liczne podziały. Rozdział 4 – stanowiący najważniejszą, jak zapowiadają sami Autorzy (s. 11), część całej książki – zdecydowanie rozczarowuje. Choć otrzymujemy setki przykładów, brakuje właściwego wyłożenia zasad metodycznych, których zebranie było w tej pracy koniecznością.

Wreszcie ostatni rozdział 5 dotyczy „redakcji publikacji źródłowych” (s. 215–265). Zawarto tu sprawy ważne z punktu widzenia naukowego (jak przygotowywanie wstępu, nagłówków, regestów, przypisów i indeksów), ale sposób ich omówienia budzi zastrzeżenia. Są uwagi cenne (np. propozycje w sprawie zawartości nagłówków, s. 223), ale stracono też wiele miejsca na sprawy naukowo nieistotne (jak np. dywagacje na temat roli „przedmowy honorowej” i jej miejsca w układzie książki). Nie wykorzystano okazji, by szerzej omówić pewne naprawdę ważne sprawy, jak np. zasady opracowywania regestów (krótko o tym na s. 224, gdzie nie padło nawet podstawowe rozróżnienie na *Kurzregest* i *Vollregest*, różniące się zasadniczo kształtem i funkcją). Zwykłym marnowaniem miejsca było objaśnianie, że odwołując się w komentarzach do stron, należy podać „skrót s. i wskaźnik liczbowy” (s. 225). Nie doceniając spraw naukowo istotnych, Autorzy zbyt wiele uwagi i miejsca poświęcali tu rzeczom oczywistym lub niepotrzebnym. Za takie uznaję dokładne omawianie zasad opracowywania maszynopisu (30 wierszy po 60 znaków ze spacjami) czy prowadzenia korekt (z tabelą znaków korektorskich na s. 241–247). Sprawy te nie powinny wchodzić w zakres zainteresowania naukowego edytorstwa źródeł. Najciekawsze w tym rozdziale jest omówienie publikacji elektronicznych (s. 248–265). I tutaj jednak niepotrzebnie trzymano się koncepcji dokładnego przedstawienia wybranych przykładów, ze szkodą natomiast dla próby wypracowania pewnych ogólniejszych zasad, wskazówek czy sugestii. Całość zamyka krótkie „Zakończenie” (s. 266–268). Autorzy zapowiadają tu sformułowanie najbardziej fundamentalnych reguł edytorskich, ale ich prezentacja (w ośmiu punktach) rozczarowuje. Przekazują one bowiem prawdy od dawna oczywiste i niekwestionowane (należy dążyć do wiernego oddania źródła, najlepszą podstawą wydania jest oryginał, najlepiej wydawać źródła w pełnym tekście), raz ogólnikowe (edycję należy opatrywać aparatem krytycznym), innym znów razem zbyt szczegółowe (zasady stosowania wielkich liter). W tym miejscu spodziewać się należałoby raczej odniesienia do bardziej zasadniczych dyskusji.

Właściwy tekst uzupełniają liczne dodatki. Dobrze, że zadbano o stosunkowo obszerne streszczenie niemieckie (s. 269–276), które pełnić może rolę przewodnika po treści książki. Bibliografia (s. 277–310) wydaje mi się mało przydatna; najważniejsze byłoby zebranie literatury traktującej o problemach edytorstwa, a ta została tu wymieszana z (na pewno dominującymi liczebnie) edycjami – których z kolei nikt w tym miejscu nie będzie szukał, tym bardziej że nie są nijak uporządkowane rzeczowo. Jako załączniki przedrukowano następnie podstawowe instrukcje wydawnicze w liczbie siedmiu (s. 311–458). Jest to na pewno

element cenny (niektóre z tych tekstów są rzadkie i choćby z tego względu uległy pewnemu zapomnieniu), ale zarazem kontrowersyjny. Czy warto było poświęcać na to aż tyle miejsca, blisko 1/3 całej książki? Mam też wątpliwości co do zasadności umieszczenia „przykładów edycji źródłowych” (s. 459–477). Nie są one — zdaje się — nigdzie przywoływane we właściwym tekście. Każdy wybór musi być subiektywny, ale nie wydaje się stosowne, że wszystkie przykłady pochodzą z edycji opracowywanych przez samych Autorów niniejszej książki (głównie J. Tandeckiego). Mogą być oni oczywiście przywiązani do własnych dokonań, którym zresztą trudno cokolwiek zarzucić, ale warto było, choćby dla ilustracji, pokazać także rozwiązania stosowane przez innych wydawców. W dodatku wszystkie przytoczone przykłady dotyczą źródeł pochodzących z Prus, mało jednak reprezentatywnych dla innych ziem polskich.

Książka pozostawia więc znaczny niedosyt. Wiele spraw omawianych jest w niej niepotrzebnie, wiele zaś źle ujętych. Pomysł wyłożenia najważniejszych zasad przez egzemplifikację okazuje się drogą donikąd, prowadzi bowiem tylko do zawężenia perspektywy. Nie widać też w pracy ustosunkowania się do szerszych problemów. Autorzy zresztą je dobrze dostrzegają (jak pokazuje podrozdział o historii edytorstwa), ale chyba nie doceniają należycie ich znaczenia (jak świadczy podany w „Zakończeniu”, wspomniany już „kanon” najważniejszych reguł). Od tego rodzaju dzieła oczekiwać należałoby nie tylko roztrząsania szczegółów i zestawiania przykładów, ale przede wszystkim zajęcia stanowiska wobec toczących się dyskusji, wskazania wątpliwości wobec tradycyjnych rozwiązań, zaproponowania nowych. Problemów zaś przecież w edytorstwie nie brakuje. Dla rozważania tych spraw potrzebne byłoby także szerokie uwzględnienie doświadczeń zagranicznych (znanych zresztą świetnie Autorom, jak widać choćby z bibliografii), a także dorobku edytorskiego innych dziedzin nauki. Własne instrukcje i zasady wypracowali zwłaszcza językoznawcy, w wielu punktach różniąc się podejściem od historyków. Korzystając z takiej interdyscyplinarnej i międzynarodowej bazy, należałoby dyskutować o podstawowych zasadach oddawania tekstu. Stosować powinniśmy transkrypcję (jak zwykli czynić historycy) czy raczej ścisłą transliterację? Czy rzeczywiście należy (jak zalecają instrukcje) modernizować interpunkcję i pisownię wielkich liter? Kryje się za tym pytanie o istotne cele edycji: czy służyć ma ona tylko przekazaniu podstawowej treści i być łatwa w lekturze, czy nieść powinna możliwie wiele dodatkowych informacji. Za lekceważeniem źródłowej interpunkcji kryło się założenie, że dawni pisarze nie stosowali w tym zakresie żadnych zasad — ale zasad takowych nigdy nie odkrywamy, pracując na edycjach zacierających stosowane przez skrybów rozwiązania. Dyskusyjne są metody rekonstrukcji tekstu: czy podawać go powinniśmy w druku wedle jednej, najlepszej kopii, czy też wolno nam kompilować lekcje różnych kopii, uznawane za najbliższe postulowanemu oryginałowi? Jak technicznie oddawać miejsca zepsute przez pisarzy: czy powinniśmy w edycji umieszczać błędny zapis, a sugestią poprawki umieszczać w przypisie, czy też (jak się to przeważnie czyni) drukować formę już poprawioną, a w przypisie dawać zepsuty zapis źródłowy? Dyskusji wymaga kształt aparatu krytycznego.

Czy rzeczywiście konieczne są tak rozbudowane, jak to się przyjęło w polskiej praktyce, przypisy objaśniające wszystkie osoby i miejscowości? W edycjach niemieckich zwykle się te sprawy objaśniać dopiero w indeksach. Wątpliwości dotyczą także spraw bardzo szczegółowych — czy rzeczywiście pieczęcie opisywać należy w nagłówkach dokumentu (jak się przyjęło u nas), czy lepiej po tekście dokumentu (jak czynią Niemcy), przywracając im niejako właściwe miejsce? Albo: czy nazwy miesięcy w rozwiązanych datach zapisywać słownie, czy jednak cyframi (wychodząc naprzeciw kłopotom zagranicznego czytelnika)? Z drugiej strony wątpliwości budzą formy wyższej organizacji edycji: czy nadal podstawowym sposobem publikacji dokumentów musi być uporządkowany chronologicznie kodeks dyplomatyczny, czy też przygotować warto także wydania ważnych ksiąg zawierających wpisy dokumentów (zwłaszcza kopiariuszy czy regestrów)? Odnotowania wymagałoby coraz częstsze ostatnio pojawianie się pretendujących do rangi naukowej publikacji podających tekst źródła w tłumaczeniu na język nowoczesny. Czy jest to jeszcze edycja, czy tylko forma popularyzacji? Odpowiedzią na ginącą, wedle powszechnej opinii, znajomość łaciny staje się zjawisko opatrywania tekstów w tym języku coraz obszerniejszymi i bardziej szczegółowymi regestami. I ta sprawa wymaga refleksji i wypracowania norm regulujących przygotowywanie tego rodzaju streszczeń. Zdawać sobie przy tym trzeba sprawę, że nie da się stworzyć jednolitych zasad, które zadowolą wszystkich wydawców i odbiorców. Słuszny wydaje się jednak postulat wypracowania pewnego minimum norm ogólnie obowiązujących (przede wszystkim w zakresie zasad rekonstrukcji tekstu i jego oddawania w druku) i przygotowywania niesprzecznych z nimi instrukcji szczegółowych dla różnych kategorii źródeł.

Zupełnie nowe wyzwania przynoszą edycje elektroniczne. Autorzy książki poświęcają im zdecydowanie zbyt mało uwagi, nie starając się też dać ogólnych wytycznych metodycznych. Ten właśnie wątek podniósł inny recenzent dzieła, Marek Słoń („Studia Źródłoznawcze” 52, 2014, s. 183–186). Jego propozycje dotyczą samej istoty rozumienia roli edytorstwa. Propaguje on od pewnego czasu pomysł publikowania w Internecie skanów rękopisów z odpowiednim komentarzem krytycznym oraz bazą danych indeksujących informacje o ludziach i miejscowościach. To idealny, zdaniem pomysłodawcy, sposób na udostępnienie masowych materiałów późnośredniowiecznych i nowożytnych (zwłaszcza ksiąg sądowych), których nikt nigdy nie wyda przecież w tradycyjny sposób. Trudno oczywiście kwestionować ogromną przydatność tego typu opracowań, ale nie są one jednak edycjami — skoro nie oferują odbiorcy tekstu „wydawanego” przekazu. M. Słoń kwestionuje mianowicie samą potrzebę kopiowania tekstu na potrzeby edycji. Ponieważ ambicją wydawców było od wieków dążenie, by w druku możliwie dokładnie oddać wygląd rękopisu, etap ten ominąć dziś można poprzez jego zreprodukowanie. Starczy więc udostępnić reprodukcję rękopisu, a każdy historyk przeczyta go sobie sam. Kto tego nie potrafi, nie będzie mógł wprawdzie korzystać z tak pomyślanej „edycji”, czym jednak przejmować się nie trzeba; także tradycyjne wydawnictwa źródłowe były ekskluzywne, skoro trzymały się zasady oddawania tekstu w języku oryginału (który nie każdemu

czytelnikowi musiał być znany). Argumentację tę uważam za nieporozumienie. Istnieje podstawowa różnica między odczytem, który można uznać zasadniczo za obiektywny, a tłumaczeniem, które zawsze jest formą mniej lub dalej idącej interpretacji tekstu. Wydawca, dbając o udostępnienie tekstu, może i powinien go odczytać, ale nie wolno mu poprzez tłumaczenie narzucać odbiorcy swego rozumienia. Głębką naiwnością jest też oczywiście twierdzenie, że każdy sam przeczyta sobie rękopiśmienną księgę sądową. Doświadczenie edytorstwa pokazuje, jak wielką i żmudną pracą jest właściwe ustalenie tekstu, wychodzące przeważnie poza samo złamanie kodu graficznego. Doceniając wagę propozycji M. Słonia, która rzeczywiście może pozwolić na uprzystępnienie wielu masowych źródeł, nie podzielam jego nadziei, że pomysł ten może zastąpić i wyprzeć tradycyjne edycje. Niezależnie od formy technicznej publikacji (w druku czy on-line) zawsze podstawowym elementem pracy wydawcy musi pozostać uprzystępnienie tekstu źródłowego, co zawsze wymagać będzie podobnych, uświęconych długą tradycją zabiegów.

Wracając zaś do recenzowanej książki — która tego typu zasadniczych dyskusji unika — zakończyć trzeba powrotem do postawionego na początku pytania o jej właściwy cel i właściwego odbiorcę. Wiele elementów treści świadczy, że rzecz pomyślana została jako podręcznik dla studentów. Czy jednak uczy się gdziekolwiek w Polsce wydawców? I czy w ogóle wyobrazić sobie można w masowej skali ich profesjonalne kształcenie od podstaw, od nauki paleografii, brachygrafii, robienia korekty itp.? Powtórzyć trzeba, że edytorstwo to jednak sztuka dla wybranych, których formować powinno się tradycyjnie na zasadzie wtajemniczania ucznia przez bardziej doświadczonego mistrza. Elementarz nie jest tu potrzebny. Książce trudno też jednak będzie stać się rzeczywistym przewodnikiem dla przyszłych (lub już praktykujących) wydawców. Nie przynosi bowiem zapładniającej refleksji na temat węzłowych problemów, z jakimi stykają się praktycy. Zdaje się, że Autorzy, sami świetni badacze i wydawcy źródeł, wcale nie zadali sobie pytania, komu i po co miałyby służyć ich książka.

Tomasz Jurek
(Poznań)

Vladimír P. Polách, *Historie o starých norských králích. Středověké Norsko a Skandinávie v kronice mnicha Theodorika*, České Budějovice 2014, Bohumír Němec — Veduta, ss. 256

Recenzowana praca jest pierwszą od wielu lat monografią jednej z najdawniejszych norweskich kronik, w której autorze widziano niekiedy samotnego przedstawiciela odrodzenia XII w. w Skandynawii¹. Odkryte i po raz pierwszy

¹ S. Bagge, *Theodoricus Monachus — Clerical Historiography in Twelfth-Century Norway*, „Scandinavian Journal of History” 14, 1989, 2, s. 133 (cały art. s. 113–133).

wydane w XVII stuleciu dzieło doczekało się już sporej literatury. Zwłaszcza ostatnie ćwierćwiecze przyniosło ożywienie badań nad *Historia de antiquitate regum Norwagiensium*, przede wszystkim nad bogatą erudycją jej autora, Mni-cha Teodoryka, i nad znaczeniem samego dzieła dla średniowiecznej kultury norweskiej. W tym czasie ukazał się również angielski przekład kroniki z cennym komentarzem, rozpoczęto ponadto prace nad jej nową, pierwszą od końca XIX w., edycją. Naszkicowany pokrótce obraz dopełnia recenzowana monografia. Autor, zatrudniony na Uniwersytecie w Ołomuńcu, ma za sobą m.in. studia magisterskie na Uniwersytecie w Oslo, badania zaś nad kroniką Teodoryka prowadził już od kilku lat, o czym przekonuje opublikowany w 2007 r. krótki artykuł².

Pracę otwiera wstęp (s. 11–17), w którym Autor zwięźle charakteryzuje analizowany przez siebie tekst, zwracając szczególną uwagę na jego recepcję, zarówno w średniowieczu, jak i w czasach obecnych. Otóż kronika Mni-cha Teodoryka nie zachowała się do naszych czasów w rękopisach z epoki, nie jest również *expressis verbis* cytowana przez żadnego ze średniowiecznych autorów. Jej znajomość zdradza jedynie twórca spisane zapewne u schyłku XII w. *Ágrip af Nóregs konunga sögum* (Streszczenia sag o królach Norwegii), który z dzieła swojego poprzednika czerpał jednak wyłącznie faktografię, obce mu były natomiast jego wysublimowana koncepcja historiograficzna, skłonność do popisywania się erudycją czy gorliwością w odnajdywaniu dla Norwegii miejsca w ramach cywilizacji chrześcijańskiej. Przykład, jaki stanowi *Ágrip*, jest pouczający. Otóż, jak sugeruje Vladimír Polách, tak skromna recepcja mogła być wynikiem nieczytelności dzieła Teodoryka dla współczesnych odbiorców. Lansowana przez kronikarza ideologia *rex iustus* w kraju, który dopiero co wyszedł z epoki wikingów, musiała spotkać się ze wzruszeniem ramionami. Piśmiennictwo łacińskie po chwilowym rozkwicie w XII w. ustąpiło w stuleciu następnym bogatej i niezwykle skądinąd twórczości wernakularnej, która charakteryzowała się już wszakże zupełnie odmiennymi cechami.

W pierwszym rozdziale (s. 20–91) Autor odmalowuje polityczne i kulturowe tło, na jakim doszło do powstania dzieła Teodoryka. Podstawowe zastrzeżenie, które można by wobec tegoż rozdziału zgłosić, brzmi następująco: zajmuje on około jednej trzeciej objętości całej rozprawy, innymi słowy jest po prostu (abstrahując od jego wysokiej wartości merytorycznej) za długi. Jest oczywiście zrozumiałe, że czytelnik czeski (podobnie zresztą jak polski) nie orientuje się w meandrach średniowiecznej kultury skandynawskiej. Wydaje się jednak, że rzecz można by przedstawić w bardziej zwięzły sposób, tak, by była ona zrównoważona przez główny nurt rozważań. Tak jednak — jak jeszcze pokażę — nie jest. Szczególnie dziwi znajdujący się w tym rozdziale krótki paragraf poświęcony

² V.P. Polách, *Theodoricus Monachus: čtení mezi řádky jedné norské kroniky*, „Historica. Acta Universitatis Palackianae Olomucensis” 33, 2007, s. 25–34. Informacje o Autorze podają za: http://www.kb.upol.cz/katedra/clenove_katedry/Polach_Vladimir-1.html (dostęp: 22 II 2015). Pierwotna wersja recenzowanej pracy z odmienną paginacją jest dostępna na: http://theses.cz/id/yzd44q/Disertan_prce.pdf (dostęp: 22 II 2015).

samemu Teodorykowi (s. 81–82), który w zasadzie dubluje informacje podane we wstępie i w kolejnych partiach książki; równie dobrze mógłby więc zostać bez szkody dla klarowności wykładu pominięty.

Rozdział kolejny dotyczy kwestii standardowo poruszanych w monografiach źródłoznawczych, mianowicie datacji dzieła, tożsamości i erudycji autora, wreszcie — tradycji rękopiśmiennej (s. 92–119). Jakkolwiek został przygotowany w sposób solidny, wypada zgłosić do niego kilka drobnych uwag. Zaczniemy od skandynawskiego imienia kronikarza, które — zdaniem Gustava Storma — brzmiało Þjóðrikr. Autor odrzuca jednak hipotezę dziewiętnastowiecznego wydawcy, twierdząc, że imię takie nie jest poświadczane przez źródła z epoki, jeśli nie liczyć skromnych danych toponomastycznych z Islandii. Niesłusznie, ponieważ nosił je również — m.in. w pieśniach Eddy poetyckiej — Teodoryk Wielki. Fakt ten, przeoczony przez Autora, paradoksalnie wzmacnia jego argumentację, prowadząc do wniosku zgodnego z jego wywoodem: otóż wydaje się, że zaproponowane przez Storma imię nie jest niczym innym, jak staronorweską literacką kalką imienia ostrogockiego króla. A skoro tak, to jest mało prawdopodobne, by mógł w rzeczywistości nosić je nasz kronikarz.

Polách, idąc w ślad za Ludvigiem Daae i Arne O. Johnsenem, opowiada się wobec tego za imieniem Þórir, które nosili dwaj norwescy dostojnicy kościelni na przełomie XII/XIII w. — biskup Hamar i arcybiskup Niðaróss. W nekrologach paryskiego opactwa św. Wiktora obydwaj zostali zapisani jako „Theodoricus”. Jak łatwo się domyślić, stąd już tylko krok do identyfikacji jednego z nich z naszym kronikarzem. Autor bodaj jako pierwszy dostarcza ważkiego argumentu przeciwko biskupowi Hamar (zm. 1196). Otóż był on stronnikiem króla Sverrira, który pozostawał w wieloletnim konflikcie z patronem kronikarza, arcybiskupem Eysteinnem Erlendssonem (s. 100). Bardziej prawdopodobna wydaje się zatem identyfikacja z arcybiskupem Þórirem (zm. 1214).

Podrozdział poświęcony tradycji rękopiśmiennej wydaje się z kolei zbyt krótki jak na tak skomplikowany problem. Kronika zachowała się bowiem w czterech siedemnastowiecznych kopiach, wywodzących się od zaginionego kodeksu o niejasnym pochodzeniu. Autor nie zna niestety bardzo ważnego artykułu Karen Skovgaard-Petersen sprzed kilkunastu lat. Duńskiej badaczce udało się dotrzeć do katalogu biblioteki Senatu Lubeckiego z ok. 1620 r., który podaje zawartość owego kodeksu. Opierając się na fakcie, że otwierał go tekst *Wojny żydowskiej* Józefa Flawiusza, po którym następowały trzy skandynawskie teksty z XII w., Skovgaard-Petersen wysunęła przypuszczenie, że kodeks został spisany w jakimś skandynawskim skrytorioium w XIII stuleciu³. Polách poprzestaje tymczasem na stwierdzeniu, że „neznáme ani jeho původ a staří”⁴ (s. 117).

W innym miejscu Autor błędnie podaje imię odkrywcy kroniki, Kirchmanna (1575–1643). Brzmiało ono Johann(es), a nie Jakob (s. 14). Źródło tej pomyłki

³ K. Skovgaard-Petersen, *Et håndskriftfund i Lübeck ca. 1620. Om den spinkle overlevering af to norske nationalklenodier*, „Fund og Forskning” 41, 2002, s. 107–127.

⁴ „nie znamy jego pochodzenia ani wieku”.

tkwi prawdopodobnie w korzystaniu z napisanego przez Petera Foote'a, skądinąd bardzo cennego i instruktywnego, wstępu do angielskiego przekładu *Historii*⁵. Co ciekawe, omawiany podrozdział zawiera już prawidłowe imię lubeckiego uczonego (s. 115).

Trzeba też odnotować podaną przez Autora istotną (i niepokojącą) informację, że jeden z zachowanych rękopisów, do niedawna przechowywany w uppsalskiej Bibliotece Uniwersyteckiej (S), jest od 1986 r. z niejasnych przyczyn niedostępny. Polách domyśla się jedynie, że mógł on zostać wypożyczony do Norwegii, co wszakże nie jest pewne (s. 119, przyp. 252).

Kolejną partię książki stanowi przekład dzieła Mnicha Teodoryka na język czeski (s. 124–186). Nie czując się na siłach, by móc kompetentnie ocenić go od strony filologicznej, chciałbym zwrócić jedynie uwagę na kilka, standardowo dyskutowanych w literaturze dotyczącej norweskiej kroniki, miejsc. Zaczniemy od incipitu prologu, który tłumacz oddał jako: „Zde začíná prolog mnicha Theodorika k jeho Historii o starých norských králich” (s. 124) — nie informując przy tym w aparacie, że trzy z czterech zachowanych rękopisów, jak i *editio princeps* podają tu tytuł odmienny od tradycyjnie przyjętego: „ecclesiastica historia Norwagiensium”. Jedynie rękopis uppsalski (S) ma w tym miejscu „historiam suam de antiquitate regum Norwagiensium”. Nie przeszkadza to Autorowi snuć gdzie indziej rozważań nad charakterem gatunkowym kroniki (s. 15, 118, 196 n.).

Kilkanaście linijek niżej Teodoryk cytuje zdanie z *Consolatio philosophiae* Boecjusza, które w oryginale brzmi: „Sed quam multos clarissimos suis temporum viros scriptorum inops delevit oblivio!” (II, proza 7). Odnosi się ono do Normanów, którzy przed objęciem tronu przez Haralda Pięknowłosego wyprawiali się do Galii w celach łupieżczych. Ich dokonania, jak przekonuje Teodoryk, zostały zapomniane z powodu braku źródeł pisanych. Cytat nie jest jednak dosłowny: kronikarz (albo któryś z kopistów) zmienił bowiem kluczowe „oblivio” na podobne fonetycznie „opinio” — taką lekcję podają zresztą wszystkie zachowane świadectwa. Sprawa sprowokowała przed kilkunastu laty interesującą dyskusję między Egilem Kraggerudem z jednej strony a Espenem Karlsenem i Kyrre Vatsendem z drugiej⁶. Polách do tej dyskusji się jednak nie odwołuje, ale jedynie uzgadnia tekst Teodoryka z Boecjuszem, oddając rzecz następująco: „nejslavnější muže starých dob zničilo nerozumné opomenutí spisovatelů” (s. 124).

Kolejna kwestia dotyczy początkowej daty panowania wspomnianego przed chwilą Haralda Pięknowłosego. Otóż zachowane rękopisy i edycje podają cztery warianty tej daty: 862, 858, 1052 i 852. Od dawna już toczy się w literaturze

⁵ P. Foote, *Introduction*, w: Theodoricus Monachus, *An Account of the Ancient History of the Norwegian Kings*, tłum. D. McDougall, I. McDougall, London 1998, s. XXX–XXXI.

⁶ E. Karlsen, K. Vatsend, *On Theodoricus Monachus' Use of Late Classical Authors*, „Collegium Mediaevale” 16, 2003, s. 255–258 (cały art. s. 239–264); E. Kraggerud, *Boëthius and the Preface of Theodoricus' „Historia” — „opinio” versus „oblivio” once again*, „Collegium Mediaevale” 18, 2005, s. 144–147 (gdzie również odwołania do wcześniejszych prac Kraggeruda).

dyskusja, którą z nich należy przyjąć jako prawidłową. Zwraca uwagę to, że badacze zabierający głos w tej dyskusji wychodzili z odmiennych założeń: jedni opowiadali się za datą historyczną (co w przypadku władcy, którego historyczność jest coraz częściej podawana w wątpliwość, oznaczać może jedynie zgodność z innymi źródłami), inni natomiast za najlepiej poświadczoną przez tradycję rękopiśmienną. Abstrahując od szczegółów, poprzestańmy na stwierdzeniu, że Autor opowiada się za rokiem 862 (s. 127), zgodnym z najstarszą z zachowanych kopii (L).

W rozdziale 13 swego dzieła Teodoryk snuje rozważania nad miejscem chrztu Olafa Świętego. Otóż, jak informuje, funkcjonują różne opinie na ten temat, rzecz jednak nie powinna wzbudzać zdumienia w kraju, w którym nigdy nie było kronikarza dziejów starożytnych — w końcu nawet św. Hieronim nie był pewien co do miejsca chrztu Konstantyna Wielkiego! Kronikarz poczynił w związku z tym następujące spostrzeżenie: „Sed sive Rothomagi sive in Anglia baptizatus fuerit [Olaf], tunc constat eum fuisse provectoris ætatis, quando martyrio coronatus est, quomodo illi dicunt, quibus maxime in hujusmodi credendum est”⁷. Zdanie to wywołało ożywioną dyskusję, w której i niżej podpisany zabrał ostatnio głos⁸. Spróbujmy oddać tu rzecz możliwie zwięźle. Otóż, zdaniem G. Storma, fraza dotycząca ukoronowania Olafa męczeństwem, mimo że poświadczona przez wszystkie rękopisy, stanowić ma interpolację: jak bowiem problemy z ustaleniem miejsca chrztu świętego władcy mają się do wieku, w którym poległ on męczeńską śmiercią?! Po drugie, dwa rękopisy (A, S) w miejscu „quomodo” podają inny spójnik („quam”), który zmienia sens całego zdania. Po wykreśleniu rzekomego „wtrętu” jest on następujący: „niezależnie od tego, gdzie ochrzcił się Olaf, jest pewne, że był wówczas starszy, niż podają to wiarygodne źródła”. Jak jednak można uznawać jakieś źródło za wiarygodne, a zarazem korygować podaną przez nie informację? W związku z tym trzeba przyznać, że Polách, idąc za wskazówkami Gudrun Lange, oddaje omawiane zdanie po czesku w zgodzie z zachowanymi świadectwami: „Ale at’ již byl pokřten v Rouen nebo v Anglii, jisté je, že byl pokročilého věku, když byl korunován mučednickou korunou, jak říkají ti, kdož jsou v této věci nejvíce důvěryhodní” (s. 145). Jedyne, drobne zastrzeżenie dotyczyć może owej „męczeńskiej korony”, która wydaje się nadininterpretacją tekstu łacińskiego. Wystarczyłoby zatem samo „męczeństwo”.

Pozostając jeszcze przez chwilę przy opowieści o chrzcie Olafa, dodam jeszcze, że razić może interpretacja, jakoby Teodoryk kreował w niej norweskiego króla na „nowego Konstantyna” (s. 13, 190). Analogia z rzymskim cesarzem nie

⁷ *Theodrici Monachi Historia de antiquitate regum Norwagiensium*, wyd. G. Storm, w: *Monumenta Historica Norvegiæ. Latinske kildeskrifter til Norges historie i middelalderen udgivne efter offentlig foranstaltning*, Kristiania 1880, s. 22–23.

⁸ R. Rutkowski, „*In illa terra, ubi nullus antiquitatum unquam scriptor fuerit*”. *Historia jako składnik tożsamości ludu cywilizowanego (na przykładzie opowieści Mnicha Teodoryka o okolicznościach chrztu Olafa Świętego)*, St. Żr. 53, 2015, s. 3–16 (gdzie odwołania do literatury).

dotyczy tymczasem wizerunku władcy czy faktu przyjęcia przez niego chrztu, ale jedynie kształtu pamięci o tym wydarzeniu. Celem Teodoryka było wykazanie, że chociaż w Norwegii nie było do tej pory pisemnej tradycji historiograficznej, która decydowałaby o przynależności kraju do grona ludów cywilizowanych, to nie stanowi to wcale powodu do wstydu. Otóż nawet taki autorytet jak Hieronim nie był w stanie rozstrzygnąć, „jak to było naprawdę” z chrztem Konstantyna. Czegóż zatem można oczekiwać po Teodoryku, który pisał przecież o Olafie: „vir iste natus pæne in ultimis partibus aquilonis inter barbaros et incultos” (cap. 19)⁹.

Tyle uwag co do przekładu *Historii*. Zanim przejdę do omówienia ostatniego rozdziału książki (s. 187–202), chciałbym zwrócić uwagę na to, w jaki sposób Autor podsumował stan badań nad kroniką. Otóż, jego zdaniem, do tej pory przedmiotem zainteresowania historyków była przede wszystkim erudycja kronikarza i tradycja rękopiśmienna jego dzieła, nie próbowano natomiast interpretować tekstu w oparciu o badania porównawcze (s. 15 n.). Jest to sąd słuszny. Niestety, trzeba powiedzieć, że monografia Polácha, jakkolwiek dość solidnie przygotowana, nie wypełnia tej luki. To, co Autor proponuje od siebie, nie wykracza (jak starałem się pokazać) poza naszkicowanie stosunkowo krótkiej syntezy średniowiecznej kultury skandynawskiej i podsumowanie wiedzy na temat tożsamości Teodoryka, zachowania jego tekstu, itp.

Również ostatni rozdział, poświęcony rozumieniu dziejów Norwegii przez Teodoryka, pod tym względem rozczarowuje — być może dlatego, że zajmuje zaledwie kilkanaście stron i jest w zasadzie zbiorem niepogłębianych uwag. Rozważania na temat „pracy średniowiecznego kronikarza ze źródłami”, by przekonywać, powinny odwoływać się do literatury dotyczącej topiki, a tej Autor (poza klasyczną rozprawą Ernesta R. Curtiusa z 1948 r.) nie zna. Podrozdział poświęcony funkcji powszechnodziejowych dygresji w kronice nie wychodzi poza to, co na ten temat miał do powiedzenia Sverre Bagge (do tego stopnia zresztą, że Polách powtarza za zasłużonym skądinąd norweskim mediewistą błędną informację, jakoby liczba owych dygresji wynosiła dwanaście; osobiście doliczyłem się ich natomiast dziesięciu, i to nie tylko u Teodoryka, ale i u Baggego)¹⁰.

Warto może zwrócić uwagę na drobne błędy warsztatowo-edytorskie. Współautorem cytowanej książki Eirika Vandvika z 1962 r. był, o czym nie wspomniano, Vegard Skånland (s. 94, przyp. 186; pozycji tej brak zresztą w bibliografii). Praca Jensa S.Th. Hanssena z 1949 r. jest artykułem, a nie książką; należało zatem podać, że ukazała się w 27 tomie czasopisma „Symbolae Osloenses”, a nie w Oslo (s. 92, przyp. 183).

Na koniec dodajmy, że recenzowana książka została wyjątkowo ładnie wydana, zarówno jeśli chodzi o twardą oprawę z obwolutą, jak i zbiór barwnych ilustracji. Całość, jak można sądzić, powinna zainteresować odbiorców.

⁹ *Theodrici Monachi Historia*, s. 40.

¹⁰ S. Bagge, op. cit., s. 117–123. Bagge snuje tam rozważania nad symboliką dwunastki (sic!).

Szczególnie ciepło (pomimo zgłoszonych powyżej zastrzeżeń) należy przywitać przekład kroniki, który z pewnością ułatwi niewprawionym czytelnikom poruszanie się po tekście Teodoryka. Od strony merytorycznej rzecz została przygotowana solidnie i kompetentnie, jakkolwiek w wielu miejscach zdradza drobne braki w erudycji i – generalnie rzecz biorąc – do nowatorskich nie należy. Stanowi zatem raczej wstęp do bardziej pogłębionych studiów niż ich ostateczny rezultat.

Rafał Rutkowski
(Warszawa)

Jarosław Sochacki, *Formowanie się wczesnośredniowiecznego państwa niemieckiego 919–962*, Słupsk 2014, Wydawnictwo Naukowe Akademii Pomorskiej, ss. 354

Książka Jarosława Sochackiego jest już kolejną pracą tego Autora dotyczącą Niemiec pod panowaniem dynastii Ottonów. Wcześniej (*Stosunki publicznoprawne między państwem polskim a Cesarstwem Rzymskim w latach 963–1102*, Słupsk 2003) zajął się tematem relacji pomiędzy Polską a jej zachodnim sąsiadem w tym okresie. W swojej najnowszej pracy skupia się na samych Niemczech i, jak wskazuje tytuł, podejmuje temat formowania się państwa niemieckiego. Autor tłumaczy dobór ram chronologicznych tym, że daty 919 i 962 wyznaczają ważne cezury pewnego okresu w kształtowaniu się państwa niemieckiego: wybór Henryka I na króla to początek panowania nowej dynastii, a z kolei koronacja Ottona I na cesarza jest zmianą sposobu sprawowania władzy.

Książka została podzielona na 5 rozdziałów uzupełnionych wstępem, zakończeniem, a także bibliografią oraz indeksami: osobowym i nazw miejscowych. O ile do indeksów nie mam większych zastrzeżeń, to w przypadku bibliografii dziwi brak podania stron wykorzystywanych artykułów w czasopismach i publikacjach zbiorowych.

We wstępie Autor nie przedstawia ani hipotezy badawczej, ani też swojej koncepcji metodologicznej. Ponadto nie do końca tłumaczy definicję państwa, którą się posługuje. Choć zgłasza (przyp. 1, s. 5) wątpliwości co do używania tego terminu, to nie próbuje w żadnym stopniu odnieść się do kwestii jego zdefiniowania i zasadności stosowania w odniesieniu do władztwa Ottonów. Ogranicza się właściwie do użycia wobec niego sformułowania „państwo więzi osobistych” (tamże).

Sochacki rozpoczyna wywód od omówienia kwestii zasadniczej dla podejmowanego przez siebie tematu, lecz wykraczającej chronologicznie poza zaznaczone ramy. Chodzi o pojawiającą się w tytule jednego z rozdziałów „Ideę politycznej jedności państwa karolińskiego do 911 r.”. Ze względu na zakres poruszanych w tym rozdziale kwestii rodzi się pytanie, czy nie należałoby przesunąć jednej z tytułowych cezur książki na lata panowania Karolingów. Zaznaczyć należy,

że w tym rozdziale badacz nie analizuje kwestii wyobrażeń politycznych autorów cytowanych źródeł, zamiast tego otrzymujemy nieomal podręcznikowy wykład historii aż do panowania Arnulfa Karyńskiego. Dopiero w ostatnim akapicie staje się jasne, że w ten sposób zamierzał pokazać, iż jedność państwa przeniesiona została na „cesarstwo”, które miało się stać jedne i niepodzielne, podczas gdy poszczególne królestwa mogły się rozpadać na mniejsze byty.

Na rozdział następny pt. „Zasięg geograficzny państwa wschodniofrankijskiego” składa się szczegółowy opis zmian kształtu granicy zachodniej oraz wschodniej królestwa wschodniofrankijskiego. Według Sochackiego Henryk i Otton I starali się utrzymać stan posiadania sprzed rządów Konrada I. To był powód, dla którego pierwszy król z dynastii podjął wysiłki w celu odzyskania Lotaryngii, która uprzednio przeszła pod panowanie królów zachodniofrankijskich. Zmiany przebiegu granicy w związku z tą polityką w tamtym okresie nie miały większego znaczenia, co odmieniło się dopiero wraz z ekspansją w kierunku Italii. Jedynie na wschodzie miała istnieć stała dążność do zajęcia kolejnych ziem.

Po przedstawieniu granic Sochacki przechodzi do kolejnego tematu w rozdziale pt. „Elementy ustroju i struktury państwa wschodniofrankijskiego”. Autor utrzymuje, że w trakcie panowania ostatnich Karolingów i za rządów Ottonów doszło do wytworzenia się „młodszych księstw szczepowych”. Opisuje uwarunkowania polityczne ich powstania, jak też wskazuje na znaczenie używanych tytułów jako wyznaczników roli w państwie. Przyjęcie tytułu księcia nie tylko podnosiło prestiż, ale także umożliwiało uzyskanie pewnej niezależności od władcy. Według Autora pracy, pomimo podejmowanych prób, Ottonom nie udało się wprowadzić prawa dziedziczenia korony, co wzmacniało możnych. Związana z tym była praktyka sprawowania władzy opierającej się na osobistych relacjach z poddanymi. Ważną rolę w tym odgrywały zjazdy możnych przeprowadzane pod kierownictwem króla. Na ograniczenie zakresu władzy Henryka i Ottona miał więc wpływ fakt, że byli oni związani decyzjami możnych. Ze względu między innymi na pozycję książąt Bawarii i Szwabii „królowi przypadła raczej funkcja integracyjna niż władcza” (s. 180).

W rozdziale „Polityka wewnętrzna Henryka I i Ottona I” czytelnik poznaje kolejne wydarzenia i bunty w porządku chronologicznym, jednak bez pokazania ogólnego tła. Zaskakuje nikłe zainteresowanie badacza ucztą po koronacji Ottona w Akwizgranie. Jej opis u Widukinda stanowił podstawę do wielu dyskusji na temat zmiany roli książąt w królestwie. Sochacki jedynie napomyka o uczcie (s. 220), nie próbuje jednak odnieść się szerzej do tej kwestii, ograniczając się właściwie tylko do przypisu do książki Gerda Althoffa i Hagena Kellera (s. 220, przyp. 200).

W obrębie polityki wewnętrznej Autor umieszcza najazdy węgierskie oraz problem *Reichskirche*, z zaznaczeniem, że „nie dysponujemy obszerniejszą szczegółową monografią poświęconą ottońsko-salickiemu kościołowi państwowemu” (s. 232). W sporze pomiędzy Timothyem Reuterem a badaczami niemieckimi odnośnie do charakteru i w ogóle istnienia tej instytucji, Sochacki zdecydowanie

popiera Niemców. Przyznaje jednak, że nie można mówić o jednolitej instytucji, ale według niego miała ona ogromne znaczenie dla tworzenia się scentralizowanego systemu sprawowania władzy.

Ostatni rozdział dotyczy polityki zagranicznej obu pierwszych władców dynastii ottońskiej. Dla Sochackiego Otton był w jakimś stopniu kontynuatorem polityki zagranicznej Henryka. Zmianę uczony widzi właściwie jedynie w tym, że w wyniku uzależnienia od siebie sąsiadujących królestw ranga i charakter owej polityki przestały być lokalne, a przybrały charakter imperialny. Kolejną różnicą jest także podjęcie ostatecznie skutecznej próby podporządkowania Italii, co doprowadziło do koronacji cesarskiej.

W zakończeniu znacznie mocniej podkreślone zostały wcześniej poruszone kwestie, takie jak zmiana sposobu sprawowania polityki wewnętrznej przez Ottona względem tej prowadzonej przez jego ojca. Jednak pomimo tego trzeba stwierdzić, że Sochacki nie przedstawił wyczerpująco poruszanych przez siebie zagadnień.

Niejako wbrew tytułowi książka ta jest w rzeczywistości opisem historii wczesnośredniowiecznych Niemiec. Formowanie się państwa potraktowano bardzo ogólnikowo. Do tego stopnia, że podaje to w wątpliwość sensowność tytułu pracy. Wynika to między innymi z faktu, że jak zaznaczono powyżej, Autor nie przedstawia powodów, dla których podjął się napisania książki. Wydaje się, że początkowe założenie było znacznie szersze i miało wykraczać poza przedstawione ramy chronologiczne, a dopiero potem z jakichś powodów zostało drastycznie ograniczone. Tłumaczyłoby to bardzo długi pierwszy rozdział, który z perspektywy całej książki mógłby bez problemu zostać skrócony do kilku analitycznych uwag. Przy kompleksowym, czyli wykraczającym poza rok 962, spojrzeniu można by także wprowadzić rzeczywiste zakończenie i przedstawić bardziej uzasadnione ogólne stwierdzenia na temat formowania się państwa Ottonów, czy też jeszcze szerzej, Niemiec. Zamiast tego powstała bardzo sumiennie napisana praca, która bardziej jest podręcznikiem historii Niemiec w pierwszej połowie X w. aniżeli monografią określonego tematu.

Pomimo tego trzeba oddać sprawiedliwość Sochackiemu i przyznać, że zebrał on do swojej książki wręcz imponującą bibliografię. Prace niemieckich historyków są przywoływane rzetelnie, przy czym sięga on nie tylko do najbardziej znanych opracowań. Można tu jednak wspomnieć, że sposób, w jaki to czyni, przywodzi na myśl krytykę poprzedniej książki Sochackiego wyrażoną przez Gerarda Labudę (*O stosunkach prawno-politycznych państwa polskiego z państwem niemieckim w X i XI wieku. W związku z pracą Jarosława Sochackiego pt. „Stosunki publicznoprawne między państwem polskim a cesarstwem rzymskim w latach 963-1102”*, CPH 57, 2005, s. 327-378). Zwracał on uwagę na tendencję Autora do mało krytycznego powtarzania za Niemcami ich hipotez.

Dodać należy, że Sochacki w znacznie mniejszym stopniu wykorzystuje dorobek innych historiografii. Polska jest już we wstępie niejako odtrącona. Historyk stwierdza, co można zrozumieć, że temat, który go interesuje, nie

pojawia się w odpowiednim stopniu w pracach polskich historyków. Jedyne nieliczne może on określić mianem „przydatnych dla poruszanego w tej pracy tematu” (s. 10). Za godne uwagi uznaje pracę Mariana H. Serejskiego (*Idea jedności karolińskiej. Studium nad genezą wspólnoty europejskiej w średniowieczu*, Warszawa 1937), a spośród publikacji powojennych wymienia książki Benedykta Zientary, Wojciecha Fałkowskiego, Anety Pieniądz oraz, w odpowiednio wyszczególnionym przypisie, biografię Ottona III pióra Jerzego Strzelczyka. Inni polscy autorzy pojawiają się w tekście tylko incydentalnie. Co charakterystyczne, odwołując się do książki G. Althoffa (*Die Ottonen. Königsherrschaft ohne Staat*, Stuttgart 2000), cytuje jedynie niemieckie wydanie, nie odnotowując polskiego tłumaczenia przygotowanego przez Martę Tycner (*Ottonowie: władza królewska bez państwa*, Warszawa 2009).

Pewnym problemem jest jednak to, że Sochacki z niechęcią podchodzi do każdej nieniemieckiej historiografii. O ile w przypadku wielu tematów takie podejście jest zrozumiałe, o tyle w przypadku państwa Ottonów i jego formowania się niesie ze sobą jednak pewne problemy. Stąd w bibliografii Sochackiego brakuje bardzo wielu ważnych publikacji. Przykładowo stwierdza on, że ze względu na swoje sukcesy w polityce zagranicznej Otton w „źródłach narracyjnych” dostąpił zaszczytu „sprawowania władzy cesarskiej jeszcze przed jego koronacją w Rzymie” (s. 291). Gdyby jednak Autor sięgnął do artykułu Stevena Robbie’ego (*Can silence speak volumes? Widukind’s Res Gestae Saxonicae and the coronation of Otto I reconsidered*, „Early Medieval Europe” 20, 2012, 3, s. 333–362) musiałby uwzględnić możliwość, że Widukind z Nowej Korbei, do którego się tutaj zapewne odnosi, umieścił wyniesienie Ottona na cesarza po bitwie na Lechowym Polu nie z powodów ideowych, czy też ze względu na docenienie sukcesów na arenie międzynarodowej, ale z powodu takiego, a nie innego sposobu prowadzenia opowieści.

Do najważniejszych pominiętych prac należą także teksty Davida Bachracha, tak artykuły, jak i jego bardzo ważna książka *Warfare in tenth-century Germany* (Woodbridge, Suffolk, UK; Rochester, NY, 2012) — niedawno wydana po polsku przez wydawnictwo Napoleon V pod kuriozalnym tytułem *Niemiecka sztuka wojenna w czasach Mieszka I*. Książka ta jest frontálną krytyką koncepcji Althoffa kształtu władzy Ottonów. Sochacki wie, że Bachrach zajmuje się historią Niemiec ottonskich, gdyż skorzystał z jednego z jego artykułów napisanego wspólnie z ojcem, Bernardem (*Saxon military revolution, 912-973?: myth and reality*, „Early Medieval Europe” 15, 2007, 2, s. 186–222).

Zaznaczmy, że tak książka Bachracha, jak i artykuł Robbie’ego ukazały się drukiem w 2012 r., więc są relatywnie nowe. Jednak nie jest to do końca wytłumaczenie dla całkowitej ciszy na ich temat u Sochackiego, gdyż korzysta on z prac wydanych nawet w 2013 r.

Czasem brakuje (ze szkodą dla książki) niektórych opracowań niemieckich: np. artykułu Susanne Kaeding, Kerstin Seidel i Britty Kümmerlen (*Heinrich I. — ein Freundschaftskönig?*, „Concilium Medii Aevi” 3, 2000, s. 265–326). Jest to starym udokumentowana krytyka koncepcji przyjaźni u Althoffa. Nie dyskutując

tutaj o słuszności czy też nie tej pracy, należy stwierdzić, że nie powinna być pominięta.

W trakcie lektury *Formowania się wczesnośredniowiecznego państwa* zwraca uwagę jeszcze jedna rzecz. Chodzi o sposób cytowania źródeł. Sochacki bardzo często umieszcza w przypisach długie passusy z nich. Zajmują one bardzo dużo miejsca, a nie jest to niczym uzasadnione. Sochacki nie odwołuje się do konkretnych słów i sformułowań, sam tekst narracji kronikarzy jest dla niego raczej mało ważny. Stąd w większości wypadków wystarczyłoby samo odniesienie bibliograficzne, bez sztucznie powiększającego przypisy cytatu.

W tekście znajdziemy jeszcze inne, drobniejsze błędy i nieścisłości. Nie zawsze przypisy są do końca jasne. Przykładowo w przypisie 211 na stronie 65, kiedy Sochacki pisze, że Widon zrezygnował z korony zachodniofrankijskiej między innymi ze względu na koronację Berengara na króla Italii, czytelnik powinien być kierowany do innego przypisu (194 na s. 62 zamiast 193). Wypada jednak zaznaczyć, że ani jeden, ani drugi przypis nie daje podstawy do takiej interpretacji działań Widona. Sochacki twierdzi także (na s. 137), że nie posiadamy opisu korony Henryka I, jednakże pojawia się on w kronice Liudpranda z Cremony *Antapodosis*.

Nie zawsze wiadomo, z którego wydania Sochacki korzystał, podając informacje w przypisach. Dobrym przykładem tego problematycznego sposobu cytowania jest kronika Reginona z Prüm, który w bibliografii jest wymieniony trzykrotnie. Mamy edycję Georga Pertza, Friedricha Kurze oraz popularne wydanie wraz z tłumaczeniem w ramach serii *Ausgewählte Quellen zur deutschen Geschichte des Mittelalters*. Sochacki, cytując Reginona, podaje poza rokiem danego wydarzenia także numer strony. Nigdzie jednak nie jest napisane, o którą z trzech edycji chodzi. Dopiero po sprawdzeniu można stwierdzić, że przypisy do Reginona prowadzą do wydania w ramach *Ausgewählte Quellen*. W przypisach odnoszących się do kontynuacji Reginona czytelnik nie jest jednak kierowany do tej serii. Zamiast tego obowiązuje dziwna zasada: kiedy znajdziemy zapis *Adalberti* albo *Adalberti, cont. Reg.*, to Sochackiemu chodzi o wydanie Kurzego (np. s. 80–81, przyp. 68 i s. 91, przyp. 128). Jednak, gdy pojawi się zapis *Cont. Reg.*, to ma na myśli wydanie Pertza (np. s. 122, przyp. 45).

Wymienione powyżej zastrzeżenia dotyczące książki Jarosława Sochackiego odnoszą się do bardzo różnorodnych kwestii. Jest ona warta uwagi jako swego rodzaju podręcznik do niemieckiej historiografii, czy też rozbudowana synteza historii Niemiec w pierwszej połowie X w. Niestety nie jako monografia zadeklarowanego w tytule tematu. Jeżeli słuszne jest wrażenie z lektury, że praca miała w oryginale znacznie szersze założenia, to trzeba ze smutkiem przyjąć ich ograniczenie. Byłoby znacznie lepiej, gdybyśmy dostali pełne opracowanie tego jakże interesującego i ważnego tematu, jakim jest formowanie się wczesnośredniowiecznego państwa (czykolwiek by ono było) niemieckiego.

Antoni Grabowski
(Warszawa)

Anna Czerniecka-Haberko, *Unie polsko-litewskie w historiografii polskiej*, Toruń 2013, Wydawnictwo Adam Marszałek, ss. 341

Podstawą recenzowanej pracy jest doktorat obroniony w 2006 r. na Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Rozprawa została przez Autorkę podzielona na pięć rozdziałów, które zostały znowu podzielone, zachowując porządek rzeczowy, na mniejsze części, aby ułatwić czytelnikowi śledzenie wywodów. Praca zawiera też wstęp, zakończenie, a także niewielką bibliografię.

Rzeczą podstawową przy tak sformułowanym temacie jest wyłożenie najważniejszych pojęć, a zatem: czym jest historia historiografii, jakie jest jej miejsce w badaniach historycznych i jak jest definiowana przez badaczy, a także jak Autorka to zagadnienie rozumie. Niestety, w przypadku pracy Anny Czernieckiej-Haberko nie można czuć pełnej satysfakcji z wyłożenia przedmiotu badań historiograficznych, ponieważ choć zdawać się może, że Autorka przytacza pogląd Jerzego Topolskiego na temat podziału, zadań i obszaru zainteresowań badawczych historii historiografii, to jednak nie poddaje go dyskusji. Ponadto przywołanie, jednak tylko w przypisie, poglądu Jerzego Maternickiego nie wyczerpuje zagadnienia, a raczej skłania do refleksji nad tym jednostronnym i raczej arbitralnym doбором poglądów. Przecież już Marian H. Serejski konstatował, że termin historiografia poruszać powinien różne formy myślenia historycznego, od bardzo prymitywnych do erudycyjnych (najdojrzałych). Problem ten w swej refleksji podejmowali również Kazimierz Tymieniecki, Witold Kula czy wielce zasłużony dla badań historiograficznych Andrzej F. Grabski. Jednak z tekstu nie poznamy powodów, które skłoniły Autorkę do pominięcia refleksji metodologicznej tych skądinąd wybitnych znawców tematu.

Idąc dalej tokiem wywodów zawartych we wstępie, zauważyć wypada, iż Autorka wyłożyła cel swojej pracy dość lakonicznie, gdyż zadeklarowała jedynie, że będzie badać „prawne formy zbliżenia i współdziałania między dwoma organizacjami państwowymi” (s. 6), czyli unie polsko-litewskie „na płaszczyźnie historiograficznej” (s. 6), a zatem praca będzie próbą „zebrania, opracowania, oraz podsumowania dorobku minionych epok (s. 6)”. Już przy tym zagadnieniu należy się zatrzymać, ponieważ poważną kontrowersją, w tak zarysowanej definicji, będzie traktowanie umowy krewskiej, ugody krewskiej, układu krewskiego czy też aktu krewskiego jako unii. Już w okresie, jaki Autorka deklaruje jako poddawany badaniu, czyli „począwszy od romantyzmu, a kończąc na latach dziewięćdziesiątych XX w.” (s. 12), część badaczy odmawiała temu dokumentowi prawnego charakteru, ograniczając się do stwierdzenia, że było to osobiste przyrzeczenie Jagielli. W innym miejscu swojej pracy przedstawiła inny zakres chronologiczny pracy, twierdząc, że rozprawa ma „charakter studium analitycznego, opartego na szerokiej bazie źródłowej, na którą składają się dzieła polskich historyków prowadzących działalność naukową od pierwszej połowy wieku XX aż po koniec wieku XX” (s. 13). Zastosowane cezury stają się jeszcze bardziej mylące i nieuzasadnione, gdy w polu badań Autorki odnajdziemy drugi tom syntezy stosunków polsko-litewskich pióra Grzegorza Błaszczyka z 2007 r.,

a także inną pracę tego uczonego, która dotyczy historii Litwy na przełomie XV i XVI w., a wydana została w 2002 r.

Sądzę jednakże, że znacznie poważniejszym problemem jest fakt, iż cezury sugerowane przez tytuł nie przystają do cezur przyjętych w pracy. W rzeczywistości Autorka poprzez tytuł sugeruje, że będzie badać dane zjawisko przez pryzmat całej historiografii polskiej, czyli poczynając od Jana Długosza poprzez okres staropolski, aż do współczesnej historiografii. Co, nawiasem mówiąc, byłoby podejściem w pełni uzasadnionym i wskazanym. Nieprzyjęcie tego założenia jest kardynalnym błędem, który w zasadzie nie został przez Autorkę należycie wytłumaczony. Wykonanie rzetelnego badania jest rzeczą pożądaną i mile widzianą, zwłaszcza że transmisja tekstu nie odbywa się przecież w próżni, a zatem trudno wyeksponować osiągnięcia historiografii romantycznej bez przywołania źródeł, na których się opierała i z których wyciągała swoje wnioski, a zatem budowała narrację historyczną, będącą przecież przedmiotem analizy w recenzowanej pracy. Trzeba również pamiętać, że Długosz w swoich *Annales seu Cronicae incliti Regni Poloniae* poświęcił sporo miejsca zwłaszcza unii horodelskiej, ale nie zapomniał o postanowieniach krewskich, które są wplecione w wypowiedź posła litewskiego Skirgiełły mającego wystąpić w imieniu swojego brata o rękę Jadwigi. Kontekst tej wypowiedzi jest bardzo ważny, zwłaszcza w podejmowanej przez Autorkę tematyce.

Trudno mi również zaakceptować twierdzenie, że symptomatycznym kryterium doboru historyków w tej pracy ma być rozpatrzenie poglądów „najbardziej reprezentatywnych historyków, czytanych po dzień dzisiejszy” (s. 13). Wynika z tego, że o doborze tych, a nie innych badaczy ma decydować ich popularność i poczytność, a nie dorobek i wkład do badań. Przegląd literatury polskiej, jaki wyłożyła Autorka we wstępie, nie jest wyczerpujący, a próba przybliżenia stanu badań historiografii litewskiej nie wypadła zbyt dobrze. Wystarczy podkreślić, że przegląd ten opiera się na streszczeniu trudu badawczego Mečislovasa Jučasa i G. Błaszczyka. Trzeba również wspomnieć, że wzmiankowany tu tekst, który napisał Stephen Christopher Rowell, został wydany w *The New Cambridge Medieval History*, a zapis bibliograficzny tej pracy w wykonaniu Autorki jest mylący i niepoprawny (s. 10, 11, 336), gdyż można z niego wywnioskować, że S.C. Rowell jest autorem całego tomu, co nie jest zgodne ze stanem faktycznym. Niestety, to nie jedyne pomyłki. Zastanawiające również jest to, iż Autorka, przybliżając stan badań nad dziejami unii polsko-litewskiej w piśmiennictwie białoruskim i ukraińskim, wymienia odpowiednio jedną pozycję dla nauki białoruskiej i jedną dla ukraińskiej (s. 11), co w żadnej mierze nie wyczerpuje zagadnienia. Przy prezentowaniu obecności unii polsko-litewskich w dyskursie naukowym między badaczami z różnych krajów warto pamiętać o bardzo interesującej dyskusji dotyczącej autentyczności dokumentu krewskiego, która miała miejsce kilkanaście lat temu, a jej echa wracają w pracach badaczy do dziś (Jonas Dainauskas, Maria Koczerska, Lidia Korczak, Grzegorz Błaszczyk, Jūratė Kiaupienė, Henryk Wisner). Niestety, w monografii A. Czernieckiej-Haberko zabrakło miejsca na to zagadnienie.

W rozdziale pierwszym poruszono okres przed powstaniem listopadowym, czyli przede wszystkim twórczość Joachima Lelewela i autorów publikujących tuż po nim. Przedstawienie tła działalności J. Lelewela i jego poglądu na dzieje Polski wydaje się bardzo interesujące, ale trudno znaleźć w wywodach Autorki wyjaśnienie, jak miało to wpłynąć na stosunek Lelewela do problematyki unii polsko-litewskich i oceny tych wydarzeń. Badaczka doszła do ogólnego wniosku, że w badaniach nad unią polsko-litewską w okresie międzypowstaniowym dominowało ujęcie tego zagadnienia w kategoriach zagrożenia zewnętrznego, a z inicjatywą zawarcia unii wychodził gospodar litewski Władysław Jagiełło.

Wypada zaznaczyć zdziwienie faktem, że w recenzowanym dziele bardzo wiele miejsca poświęcane jest periodyzacji dziejów Polski, która przecież dla badanego zagadnienia ma raczej znacznie drugorzędne. Tytułem przykładu przywołam wywody na temat periodyzacji stosowanej przez Henryka Schmitta, która została wyłożona bardzo obszernie, i okraszona stwierdzeniem, iż „odbiegała nieco od lelewelowskiej, ale warto zauważyć, że zaproponowane zmiany były mało istotne” (s. 41). Zatem po co wykładać tę periodyzację tak obszernie i następnie konstatować, że była to praca nic nie wnosząca do wykładu? Na marginesie dodam, iż w przypadku przytoczonego przeze mnie cytatu Autorka powołała się na autorytet Jerzego Serczyka, który nawet nie podjął się krytyki koncepcji periodyzacji dziejów tego uczonego w swojej pracy. Podobnie było w przypadku pracy Andrzeja Wierzbickiego, który przecież nie oceniał tej koncepcji na zasadach wyłożonych przez Autorkę w diskutowanej tutaj pracy. A. Czerniecka-Haberko nadinterpretowała wywody historyków historiografii, tak żeby wpisywały się w jej wyobrażenie o zależności Schmitta od Lelewela, która oczywiście była, ale nie aż tak wyrazista, jak się to Autorce mogło wydawać.

Jeszcze bardziej zastanawiające są bardzo skrupulatne wyliczenia prac naukowych Juliana Bartoszewicza, Kazimierza Jarochońskiego i Adriana Krzyżanowskiego (s. 58–61), zakończone stwierdzeniem, iż „wymienieni historycy albo w ogóle nie poruszali w swoich pracach kwestii unii polsko-litewskich, albo potraktowali to zagadnienie w sposób marginalny” (s. 60). Oczywiście Autorka nie przywołała nawet tych marginalnych ocen unii polsko-litewskich. Podobnie było w przypadku przywołania dorobku Karola Boromeusza Hoffmana, który „w żadnym z wymienionych dzieł nie podjął kwestii unii polsko-litewskich” (s. 72). Wielce to zaskakująca metoda prowadzenia narracji, w którą wplecione są passusy nie mające rzeczywistej i wymiernej wartości dla tematu deklarowanego przez Autorkę. Sugeruje to również, jakoby Autorka wyczerpała cały dostępny materiał, a z kronikarskiego obowiązku przywołała również badaczy, którzy nie ogniskowali swojej uwagi na kwestiach prawnohistorycznych unii polsko-litewskiej i epoki jagiellońskiej.

Można odnieść również wrażenie, że rysowanie ogólnego rozwoju zainteresowań historyków było ważniejsze niż podjęcie problematyki związanej ściśle z tematem pracy. Zarysowany obraz jest w dużej mierze kompilacją wcześniejszych tekstów (m.in. J. Serczyka, A.F. Grabskiego i J. Maternickiego), Autorka sama żadnych interesujących spostrzeżeń nie dorzuciła, a jedynie przywołała

duże ustępy z syntez prominentnych historyków historiografii naszego kraju. Podział tego rozdziału został zaczerpnięty z pracy A. Wierzbickiego, ale tego z tekstu się niestety nie dowiemy, gdyż A. Czerniecka-Haberko nic na ten temat nie wspomina ani we wstępie pracy, ani na dalszych kartach wykładu.

W kolejnych podrozdziałach Autorka wyłożyła rozwój poglądów historyków doby Lelewela i tuż po jego śmierci. Przypomniała czytelnikowi o wielu zależnościach i korelacjach, które zachodziły między poszczególnymi badaczami. Przedstawiła również następców, przeciwników teorii dziejowej Lelewela. Znacznie mniej miejsca zajęła w tej części pracy problematyka unii polsko-litewskiej w koncepcjach historiograficznych poszczególnych badaczy.

Z kolei rozdział drugi został podzielony według funkcjonujących w okresie po powstaniu styczniowym trzech ośrodków naukowych, czyli na krakowski (Józef Szujski, Michał Bobrzyński, Stanisław Smolka, ks. Jan Fijałek), lwowski (Antoni Prochaska, Fryderyk Papée, Antoni Małecki) i warszawski (Tadeusz Korzon, Władysław Smoleński). Sprawą wielce dyskusyjną jest słuszność włączenia szkoły warszawskiej do wykładu A. Czernieckiej-Haberko, ponieważ dla przywołanych tu uczonych problematyka unii polsko-litewskiej była sprawą marginalną, a na pewno nie pierwszoplanową w ich badaniach. Co innego można powiedzieć o ośrodku lwowskim, który skupił kilku znawców tej problematyki. Rozdział ten, podobnie jak każdy w tej pracy, został opatrzony ogólnymi rysami sytuacji politycznej w kraju i możliwości rozwoju badań historycznych w poszczególnych zaborach.

Trudno mi się także zgodzić z zasadnością włączenia do wykładu okoliczności powstania tzw. szkoły krakowskiej i charakterystyki aktywności naukowej księdza Waleriana Kalinki (s. 85–86). Jest to bez wątpienia ważne zagadnienie, ale nie ma najmniejszego związku z rozwojem badań nad uniami polsko-litewskimi, a można jeszcze na marginesie zaznaczyć, że literatura jest w tym zakresie bardzo obfita. Bezcelowość tego zabiegu podniosła sama badaczka, stwierdzając, iż „Niestety, w swoich pracach ks. W. Kalinka nie zajął się problematyką unii polsko-litewskich” (s. 87). Pomimo poczynionego zastrzeżenia poświęcono temu zagadnieniu kilka akapitów, co jest charakterystyczną cechą całej tej pracy. Trzeba jednak przyznać, że Autorka na dalszych kartach swojej książki bardzo słusznie zauważyła, że J. Szujski, jako jeden z pierwszych, zaczął lansować hipotezę, iż tak naprawdę trudno wskazać jednoznacznie inicjatora zbliżenia polsko-litewskiego w latach osiemdziesiątych XIX w., a zatem wszystkie dotychczasowe sugestie historiograficzne są dyskusyjne i w pewnej mierze tendencyjne.

Pozostając przy tym rozdziale, trzeba zaznaczyć, że przytoczone przez A. Czerniecką-Haberko prace A. Prochaski nie są wszystkimi, w których poruszał on problematykę unii polsko-litewskich oraz szeroko rozumianej kwestii jagiellońskiej. Stąd też przedstawiony obraz jest niepełny. Nie podano też opracowań historiograficznych na temat tego badacza. Należy również napomknąć, że poważnym błędem jest brak odniesień do *Złotej księgi historiografii lwowskiej XIX i XX wieku* (red. J. Maternicki, t. 1, Rzeszów 2007), gdzie znajduje się obszerny artykuł Stefana Ciary na temat A. Prochaski.

Rozdział trzeci jest prezentacją sylwetek czterech tytanów historiografii przełomu XIX i XX w. Autorka przedstawiła życiorysy i dorobek naukowy dwóch historyków prawa — Oswalda Balzera i Stanisława Kutrzeby, a także historyków — Feliksa Konecznego i Władysława Semkowicza. Rys epoki kolejny raz został ukazany bardzo schematycznie i na podstawie literatury przedmiotu, a zatem nie znajdziemy w nim żadnych rezultatów samodzielnych dociekań naukowych A. Czernieckiej-Haberko.

W kolejnym rozdziale poruszono problematykę unii polsko-litewskiej w okresie międzywojennym. Przedstawienie migracji historyków w II Rzeczypospolitej było i jest zagadnieniem ważnym, bo obrazującym pewne przemiany, powody zmiany miejsc zamieszkania (zatrudnienia), a także główne kierunki rozwoju nauki historycznej, ale w pracy o uniach polsko-litewskich w historiografii polskiej jest to wyliczenie zupełnie zbędne i pozbawione mocniejszych podstaw. Te uogólnienia i wyliczanki kolejnych badaczy tylko rozsadzają pracę do niezwykłych rozmiarów, a szczerze powiedziawszy, nie zbliżają Autorki do sedna zagadnienia. O wiele ciekawsze byłoby ukazanie badaczy unii polsko-litewskich na tle epoki, innych badaczy i w oparciu o ich dorobek naukowy. Próba scharakteryzowania tego dorobku w kontekście historiograficznym to zadanie o wiele ważniejsze niż skrupulatne wynotowanie historyków odnowionego w 1915 r. Uniwersytetu Warszawskiego, a także ich specjalności (s. 208–210). Podobne zabiegi zastosowała Autorka przy prezentacji środowiska krakowskiego i lwowskiego w tym okresie. Poświęciła bowiem ośrodkowi lwowskiemu dwie strony, ale tak naprawdę nie przedstawiła poglądów żadnego badacza na genezę i kształtowanie się unii polsko-litewskiej.

Ostatni rozdział tej pracy dotyczy egzemplifikacji poglądów badawczych na unię polsko-litewską w historiografii PRL. Niezrozumiałe dla mnie jest przypisanie najważniejszych poglądów Henryka Łowmiańskiego do okresu po 1945 r. i jego wyjazdu do Poznania. Większość zapatrywań badawczych tego wybitnego uczonego nabrała ostatecznych kształtów właśnie w trakcie jego pobytu w Wilnie. Tam w 1932 r. powstała jego monumentalna praca pt. *Studia nad początkami społeczeństwa i państwa litewskiego*, a ogłoszona dopiero w 1999 r. *Polityka Jagiellonów* wpisuje się w ten nurt, gdyż przedstawia stan badań sprzed 1945 r. W pełni zasadne jest wyodrębnienie ośrodka poznańskiego jako czołowego miejsca badań nad dziejami epoki jagiellońskiej w ogóle. Z tego też powodu nie mogę pojąć, dlaczego Autorka nie wyłuskała poglądów Jadwigi Krzyżaniakowej na temat unii polsko-litewskiej. Przecież dorobek tej uczonej jest znaczny i w pełni zasługujący na swoje miejsce w pracy o uniach polsko-litewskich. Zapomniano również o dorobku Marceliego Kosmana, ucznia H. Łowmiańskiego, który co prawda pojawia się na kartach tej pracy, ale jego dorobek jest A. Czernieckiej-Haberko znany tylko za pośrednictwem prac Krzysztofa Pietkiewicza.

Na początku tej recenzji wspomniałem o problemie powstałym przy lekturze ostatniego rozdziału, czyli o dokonanych przez Autorkę arbitralnym doborze uczonych. Nie jest to kompleksowe badanie historiografii, ponieważ brakuje kilku ważnych dla badań późnego średniowiecza nazwisk. A. Czerniecka-Haberko,

bez podania uzasadnienia, nie zajęła się spuścizną chociażby Mariana Biskupa, Urszuli Borkowskiej, Janusza Kurtyki, Ewy Maleczyńskiej, Zenona H. Nowaka, a także wynikami badań Krzysztofa Baczkowskiego, M. Koczerskiej, Jarosława Nikodema, Krzysztofa Ożoga, Jerzego Sperki, Jana Tęgowskiego, Wacława Uruszcza czy Jerzego Wyrozumskiego.

Brak szczegółowej analizy podłoża społecznego i kulturalnego, w którym krystalizowały się poglądy poszczególnych historyków, wpływa na to, że odbiór pracy jest z pewnością niekompletny. Autorka dużą wagę przywiązywała do przedstawienia uogólnień na temat danego okresu, a do tego uczyniła to za pośrednictwem powszechnie dostępnej wiedzy z podręczników i skryptów akademickich, natomiast na analizę szczegółową kariery, dorobku, miejsca w historiografii poszczególnych badaczy zabrakło już niestety miejsca. Jedyne Lelewel został przedstawiony w szerszym świetle. Obraz wyłaniający się z kart recenzowanej pracy jest więc niepełny, a wkład autorski Anny Czernieckiej-Haberko niepewny.

Można również odnieść wrażenie, że poruszana w pracy problematyka nie jest zbyt dobrze zbadana przez historyków, co w oczywisty sposób mija się z prawdą.

Krzysztof Osiński
(Poznań)

Monika Maludzińska, „Próżnowanie stało się powszechnym nałogiem”.
Żebracy i włóczędzy w stanisławowskiej Warszawie, Warszawa 2014,
Wydawnictwo Neriton, ss. 521, nlb. 17, aneksy

W związku z dyktatem publikowania narzuconym przez tak zwaną parametryzację nauki nasila się ostatnio zjawisko, które przed laty Andrzej Feliks Grabski określił mianem deprofesjonalizacji polskiej historiografii, co można porównać do prawa gospodarki rynkowej o wypieraniu dobrego pieniądza przez zły¹. Dlatego coraz częściej zdarzają się braki bibliograficzne wynikające przede wszystkim z pośpiechu, czyli niedopełnienia przez badaczy kryterium skrupulatności, powierzchowne analizy faktów i procesów historycznych, poszukiwanie problemu badawczego po uzyskaniu informacji na temat możliwości publikacji w punktowanym czasopiśmie etc. W związku z powyższymi uwagami pozornie wydawać by się mogło, że książka Moniki Maludzińskiej to kolejna próba odtworczego potraktowania problematyki ubóstwa i żebractwa w stanisławowskiej Warszawie. Bo cóż można napisać odkrywczego po badaniach Juliana Bartoszewicza, Niny Assorodobraj, Andrzeja Zahorskiego, Zofii Podgórskiej-Klawe, Tadeusza Srogosza i innych? A jednak lektura wydanej rozprawy doktorskiej, napisanej pod kierunkiem uznanego badacza ubóstwa w Warszawie w czasach nowożytnych Andrzeja Karpińskiego, przeczy tej początkowej, powierzchownej ocenie.

¹ A.F. Grabski, *Zarys historii historiografii polskiej*, Poznań 2000, s. 246.

Książka składa się ze wstępu, trzech rozdziałów (1. „Warszawa i jej mieszkańcy w epoce stanisławowskiej – przyczyny pauperyzacji”, 2. „Warszawscy włóczędzy i żebracy – typologia i kategorie grupy”, 3. „Władze i społeczeństwo wobec problemu ubóstwa i żebraków. Stanowisko i rola Kościoła”), zakończenia, streszczenia w języku angielskim i francuskim (tłumaczone przez Grażynę Walugę i Krystynę Zaleską), bibliografii, aneksów, spisu zestawień, tabel i wykresów, indeksu osób oraz spisu ilustracji. Poszczególne rozdziały podzielone są na podrozdziały. Tradycyjny układ nie jest wcale mankamentem, dobrze, że Autorka nie siłała się na modne dzisiaj eksperymenty w tym zakresie, najczęściej zakłócające przejrzystość narracji. Do przedstawionego układu książki można jednak mieć zastrzeżenia. Mianowicie uderza nierówne potraktowanie rozdziałów – w pierwszym są trzy podrozdziały, w drugim siedem, a w trzecim tylko dwa. Dawniej nauczano adeptów badań naukowych, że w pracy powinny być co najmniej trzy rozdziały, które – jeżeli uznamy za słuszne ich wprowadzenie – muszą być podzielone na co najmniej trzy podrozdziały. Zwłaszcza materia rozdziału trzeciego powinna obligować do bardziej wyrazistego podziału (jeśli nie do wyodrębnienia kilku rozdziałów), choćby z racji zamieszczenia w tytule stanowiska i roli Kościoła. M. Maludzińska nie w pełni poradziła sobie także z obszerną materią rozdziału pierwszego, mającego w tytule zawężone w stosunku do ubóstwa pojęcie pauperyzacji, oznaczające proces ubożenia.

M. Maludzińska jest przedstawicielką (miejmy nadzieję, że nie całkiem ginącego gatunku) solidnego, źródłowego dziejopisarstwa, szanującego dokonania poprzedników. Podana na końcu książki bibliografia jest – jak sędzę – kompletna. Liczne źródła archiwalne, rozproszone w wielu archiwach i bibliotekach, a także starodruki, źródła drukowane i ówczesna prasa stanowiły podstawę do budowania solidnej narracji. Dotychczasowi badacze traktowali wprawdzie Warszawę jako centralny ośrodek działalności władz (głównie centralnych) w zakresie problematyki ubóstwa i żebractwa, ale – z racji szerszej perspektywy terytorialnej, a niekiedy i chronologicznej – archiwalia w ich pracach ograniczały się zwykle do zespołów w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie (Archiwum Królestwa Polskiego, tzw. Metryki Litewskiej i (rządziej) Warszawa Ekonomiczne). Natomiast M. Maludzińska oprócz wyżej wymienionych zespołów w tymże Archiwum wykorzystała dalsze: Zbiór Komierowskich, Zbiór Popielów, Archiwum Publiczne Potockich, Archiwum Sejmu Czteroletniego, Stara Warszawa. W pracy reprezentowane są też liczne zespoły, teczki i rękopisy z innych archiwów i bibliotek: Archiwum Archidiecezjalnego Warszawskiego, Archiwum Państwowego m.st. Warszawy, Archiwum Sióstr Miłosierdzia w Warszawie, Biblioteki Czartoryskich w Krakowie, Biblioteki Jagiellońskiej, Biblioteki Narodowej w Warszawie, Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie, Biblioteki Ossolińskich we Wrocławiu, Biblioteki Uniwersyteckiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Równie solidnie i skrupulatnie zebrany został zestaw opracowań, aczkolwiek w „Bibliografii” odnajdujemy tylko wybór prac. Nie ma tam literatury obcojęzycznej (prawie bez wyjątku anglojęzycznej) lub przetłumaczonej na język polski, natomiast omówienie licznych pozycji w tym zakresie znajdziemy we

„Wstęp” (s. 18–21). Jest niewątpliwie rzeczą chwalebłą znajomość szerokiego wachlarza literatury przedmiotu, między innymi w celach porównawczych. Czytelnika może jednak zaskoczyć brak do niej odniesień zarówno w poszczególnych rozdziałach, jak również w „Zakończeniu”. Można się zgodzić z M. Maludzińską, że do rozwiązania problemu badawczego postawionego w książce niekoniecznie trzeba sięgać do publikacji z innych regionów Europy. W takim razie niepotrzebny wydaje się ten popis erudycji. Co najwyżej nasuwa się postulat pożytecznego dla badaczy problematyki ubóstwa i żebractwa pogłębienia analizy historiograficznej w osobnej publikacji.

Wykorzystana przez Autorkę polska literatura przedmiotu odnosząca się do zagadnienia ubóstwa i żebractwa w Rzeczypospolitej lub w samej Warszawie jest niemal kompletna. Brak niektórych nowszych opracowań lub wydawnictw źródłowych dotyczących zagadnienia walki z żebractwem i włóczęgostwem w innych rejonach Rzeczypospolitej lub urzędników policyjnych, jednakże na usprawiedliwienie można dodać, że część tych pozycji ukazała się w mało popularnych wydawnictwach². Rozszerzenie bazy piśmienniczej mogłoby pozwolić na pogłębienie warstwy porównawczej książki.

Jako uczeń i znawca piśmiennictwa Bohdana Baranowskiego nie mogę się zgodzić ze stwierdzeniem, że opisał on tryb życia siedemnastowiecznych wędrownych żebraków tylko na podstawie *Peregrynacji dziadowskiej* (s. 14, przyp. 19), skoro wykorzystał przecież pokaźny zbiór innych źródeł, w tym wypisów z ksiąg miejskich. Z drugiej strony M. Maludzińska wiele prac podała informacyjnie tylko we wstępie, nie wyrażając opinii o ich wartości metodologicznej i merytorycznej. A przecież trzeba zauważyć, że znaczna część piśmiennictwa, zwłaszcza historyczno-medycznego, prezentuje niski poziom. Jest to szczególnie widoczne w opracowaniach dotyczących tak zwanej konstytucji szpitalnej z 1775 r., którą z powodu niezrozumienia pojęcia traktowało się jako nieomal ustawę zasadniczą opieki społecznej i zdrowotnej. Brak krytycznych odniesień do dotychczasowego dorobku piśmienniczego jest mankamentem książki.

Część badaczy miała trudności z zastosowaniem terminów odnoszących się do ubóstwa oraz żebractwa i włóczęgostwa, zwłaszcza z ich demarkacją. Zatem dobrze się stało, że M. Maludzińska we wstępie wyjaśniła podstawowe pojęcia (s. 7–9). Szkoda, że w tych wyjaśnieniach zabrakło podstaw teoretycznych, na przykład odniesień do poziomu, sposobu i stylu życia, kategorii pomocnych zwłaszcza przy analizie grup wyraźnie odróżniających się od reszty społeczeństwa³.

² Na przykład: J. Gordziejew, *Komisje Porządkowe Cywilno-Wojskowe w Wielkim Księstwie Litewskim w okresie Sejmu Czteroletniego (1789–1792)*, Kraków 2010; *Ordynacja dla miasta Krakowa z roku 1778*, wyd. G.M. Kowalski, Kraków 2008; T. Srogosz, *Działalność intendenta szpitalnego Wiktora Logi. Przyczynek do kształtowania się statusu urzędnika u schyłku I Rzeczypospolitej*, w: *Silva rerum antiquarum. Księga Pamiątkowa dedykowana Prof. zw. dr. hab. Bartłomiejowi Szynclerowi*, red. R.W. Szwed, Częstochowa 2009, s. 177–185.

³ T. Srogosz, *Kategoria stylu życia jako narzędzie badawcze historyka*, w: *Klio viae et in via. Opuscula Marco Cetwiński dedicata*, red. A. Odrzywolska-Kidawa, Warszawa 2010, s. 709–711.

W naukach społecznych są one dominujące w badaniach nad alternatywnymi stylami życia, niekoniecznie uwarunkowanymi materialnie. Mimo że Autorka nieśmiało nadmieniła, iż określenie „ludzie luźni” dotyczyło ich statusu formalnoprawnego, to później konsekwentnie wiązała tę grupę z marginesem społecznym, co nie zawsze pokrywało się z rzeczywistością społeczeństwa stanowego. Zdarzało się przecież, że do ludzi luźnych zaliczano osoby mające określony sposób życia, co dotyczyło na przykład młynarzy i karczmarzy.

Niezbyt odkrywcze (aczkolwiek potrzebne dla dalszej narracji) są, z racji stopnia ogólności i utrwalonych już w literaturze tez, rozważania o przyczynach ubożenia zawarte w rozdziale pierwszym. Wydaje się zresztą, że użycie określenia „warunki sprzyjające” w przypadku procesu ubożenia byłoby bardziej odpowiednie niż „przyczyny”. Po pierwsze, i tak nie opiszemy wszystkich jego czynników, a po drugie pierwsze sformułowanie jest bardziej otwarte i adekwatne do zjawisk społecznych niż ostrzej zarysowane przyczyny.

Z niektórymi tezami zawartymi w tym rozdziale można polemizować. Jedną z nich jest stwierdzenie, że zasadniczym czynnikiem powodującym zubożenie ludności był niewłaściwy system kształcenia (nieefektywność systemu kształcenia), którego najsłabsze ogniwo stanowiły szkoły elementarne, niedostępne dla ogromnej większości ubogich dzieci (s. 81–102, 461–462). Czy nie jest to czasem dzisiejsza perspektywa przedstawicieli tak zwanych nowoczesnych społeczeństw? Czy edukacja szkolna była potrzebna, aby wykonywać proste profesje, zarezerwowane zazwyczaj dla niższych grup społecznych? A może niekiedy przeszkadzała w ponownej adaptacji do środowiska?

O wiele bardziej interesujący jest rozdział o typologii i kategoriach warszawskich włóczęgów i żebraków. Niewątpliwym walorem pracy jest oszacowanie liczby żebraków w Warszawie, z uwzględnieniem ich pochodzenia, płci, wieku, wyznania, stanu cywilnego. W książce są nawet dane o pochodzeniu terytorialnym podopiecznych warszawskich placówek opieki (s. 156–157). M. Maludzińska nie ograniczyła się bynajmniej do wyżej wymienionych zestawień dotyczących wizerunku i trybu życia warszawskich żebraków. Podała również ujęte w tabelę dane odnośnie do szpitali, funduszu orderowego, śmiertelności etc. Z punktu widzenia technicznego nie odpowiada mi określenie pod tabelą „opracowanie własne”, które coraz częściej gości w publikacjach naukowych. Przecież tabel nie powielamy, lecz konstruujemy na podstawie źródeł i literatury przedmiotu, wkładając w tę czynność wysiłek intelektualny.

M. Maludzińska zanalizowała również nie cieszące się do tej pory dużym zainteresowaniem badaczy zagadnienia „pracy” i życia codziennego żebraków warszawskich, takie jak czas żebrania, atrybuty żebraka (wygląd zewnętrzny), „miejsce pracy”, metody żebrania, czas wolny, zwykle spędzany w karczmach i domach rozpusty. Te fragmenty książki są niezwykle interesujące, ukazują codzienny wymiar historii, co starają się forsować (najczęściej bez znajomości niezbędnych tajników pracy źródłowej) teoretycy historii poprzez propagowanie tak zwanych nowoczesnych nurtów w historiografii, zwłaszcza antropologii historycznej i mikrohistorii. Bardzo dobrze, że M. Maludzińska nie siłała się na

bezpośrednie odwołania swoich analiz do standardów antropologicznych lub mikrohistorycznych. Bo czyż wątków antropologicznych lub mikrohistorycznych nie zauważymy w pracach Kazimierza Chłędowskiego, Ludwika Kubali, Władysława Łozińskiego, Franciszka Giedroycia, Adama Kerstena, B. Baranowskiego i wielu innych? Ze względu na mocne umocowanie źródłowe i charakter przekazów kolejne fragmenty tego rozdziału (przestępstwa i wykroczenia, choroby i śmierć) zainteresują nie tylko środowisko profesjonalnych historyków, lecz także szerszą publiczność.

Z uwagi na niestabilizowany tryb życia trudno jest zaproponować przejrzystą typologię grupy żebraków. Autorka również miała z tym kłopot, stąd w osobnych podrozdziałach wydzieliła funduszowych szpitala św. Łazarza, dziady i baby przykościelne i przyszpitalne, żebraków wędrownych oraz Bractwo Ubogich, w skład którego wchodziłi żebracy służący przy kolegiacie św. Jana. W tej typologii zniknęła, a przynajmniej nie została wyeksponowana, najliczniejsza grupa miejscowych żebraków, najczęściej bezdomnych, reprezentujących specyficzny styl życia.

Narracja M. Maludzińskiej jest barwna, co było niezbyt trudne do osiągnięcia z racji samej materii zjawisk obyczajowych. Czasem są to istne „perełki” narracyjne, na przykład podrozdział o najsłynniejszym żebraku Warszawy, czyli Walentym, zwanym Baranem Kożuszkim. W opowieści o Baranem Kożuszku jak w soczewce skupiły się zagadnienia społeczne, obyczajowe i polityczne (jego przymioty zostały wykorzystane w propagandzie jakobińskiej).

Najdłuższy, liczący aż 238 stron, jest rozdział o działaniach władz wobec problemu ubóstwa i żebraków, a także o stanowisku i roli Kościoła w tym zakresie. Pomijając zgłoszone wcześniej zastrzeżenia natury konstrukcyjnej, należało w tytule i w tekście uwzględnić również inne wyznania. Mimo obszernego piśmiennictwa na ten temat trzeba stwierdzić, że badaczka wniosła wiele nowych danych faktograficznych, a to dzięki solidnym kwerendum źródłowym. Największe osiągnięcia na polu walki z żebractwem i włóczęgostwem miała Komisja Policji Obojga Narodów, co zostało zaprzepaszczone przez kolejne zawirowania polityczne. Zawarte w książce wnioski o nieskuteczności działań, braku podstaw finansowych i odpowiednich placówek opieki etc. nie odbiegają od ustaleń wcześniejszych badaczy zagadnień ubóstwa i żebractwa w okresie stanisławowskim.

Oczywiście, również w pracy Moniki Maludzińskiej można się doszukać spraw dyskusyjnych, usterek, niedomówień etc., ponieważ nie ma dzieł doskonałych. Książka jest niewątpliwie solidną analizą problemu żebractwa i włóczęgostwa w stanisławowskiej Warszawie, znacznie rozszerzającą dotychczasową wiedzę o tym zjawisku. Może, w związku ze spadkiem zainteresowania historią, warto by było opisy żebractwa i włóczęgostwa warszawskiego zaprezentować w wersji popularnonaukowej?

Tadeusz Srogosz
(Częstochowa)

Gareth Williams, *Paralysed with Fear. The Story of Polio*, Basingstoke–New York 2013, Palgrave Macmillan, ss. XVII, 354

Polio, czy jak częściej mówiono w Polsce — choroba Heinego–Medina od co najmniej kilkudziesięciu lat nie figuruje w katalogu przyczyn zbiorowych lęków. Ale aż do końca lat pięćdziesiątych XX w. zajmowało w nim ważne miejsce. Dotyczyło to w szczególności krajów europejskich i Ameryki Północnej, gdzie choroba stała się istotnym problemem społecznym.

Pośrednim dowodem jego wagi może być fakt, że jest nadal obecne zarówno w literaturze naukowej, jak i kulturze popularnej¹. Za jeden z przejawów tego niegasnącego zainteresowania polio można uznać najnowszą publikację Garetha Williamsa. Autor jest lekarzem i historykiem medycyny, emerytowanym profesorem związanym z Uniwersytetem w Bristolu. Recenzowana publikacja to druga monografia, w której podejmuje on problem historii chorób zakaźnych — w 2010 r. opublikował *The Angel of Death. The Story of Smallpox*, pracę poświęconą ospie prawdziwej.

Polio, na co zresztą zwraca uwagę sam Autor (s. 116), jest w pewnym sensie nietypową chorobą zakaźną. W odróżnieniu od wielu innych (np. błonicy czy krztusca) nie wiąże się z sytuacją „zero-jedynkową”. Dziecko chore na krztusiec mogło umrzeć, ale pokonanie choroby oznaczało powrót do świata zdrowych. W przypadku polio sytuacja była znacznie bardziej skomplikowana. Najbardziej charakterystycznymi (choć statystycznie rzadkimi) skutkami zachorowania były porażenia różnych partii mięśni. W związku z tym koniec ostrej fazy choroby otwierał niejednokrotnie okres zmagania z mniejszymi lub większymi fizycznymi ograniczeniami i prób powrotu do „normalnego” świata. Tym samym choroba zakaźna i jej konsekwencje składały się na swego rodzaju *continuum*. Dla badacza zajmującego się tematem polio jest to z jednej strony szansa, z drugiej spore wyzwanie. Konieczne staje się bowiem precyzyjne określenie obszaru zainteresowań oraz perspektywy, z jakiej spogląda on na problem.

G. Williams w recenzowanej publikacji przyjmuje optykę historii medycyny. W centrum rozważań umieszcza epidemie polio i sposoby radzenia sobie z nimi. Kwestia niepełnosprawności powodowanej przez polio zajmuje go w ograniczonym zakresie.

Zadanie, którego podjął się Autor, nie należało do łatwych. Nie dlatego bynajmniej, że istnieją luki w materiale źródłowym lub na poziomie faktograficznym występują poważne niejasności. Przeciwnie, Williams wchodzi na teren już dość dobrze rozpoznany i stosunkowo nieźle opisany². Naturalne w tym

¹ Temat poruszany jest współcześnie zarówno w literaturze, jak i filmie. zob. np. P. Roth, *Nemesis*, Warszawa 2012 (oryg. ang. 2010); film *Sesje*, reż. B. Lewin, z 2012 r.

² Patrz np. J.R. Paul, *History of Poliomyelitis*, New Haven 1971; N. Rogers, *Dirt and Disease. Polio before FDR*, New Brunswick 1992; D. Oshinsky, *Polio. An American Story*, Oxford–New York 2005 (wyd. polskie: D. Oshinsky, *Polio. Historia pokonania choroby Heinego–Medina*, Warszawa 2015).

kontekście wydaje się pytanie: czy jego praca w jakikolwiek sposób wzbogaciła istniejący stan badań dotyczących walki z epidemią polio? Czy udało mu się uniknąć replikowania zastanych ustaleń? A jeśli tak, w jaki sposób odróżnia się od swoich poprzedników?

Tym, co rzuca się przede wszystkim w oczy przy lekturze książki, jest umiejętność wytyczenie osi zawartych w niej rozważań. W centrum zainteresowania znajduje się nauka (medycyna i nauki okołomedyczne) i to, w jaki sposób polio jest „rozgrywane” tak w ramach społeczności uczonych, jak i na jej marginesach. Książka Williamsa nie jest w związku z tym po prostu usystematyzowanym kompendium wiedzy na temat historii choroby, ale swego rodzaju studium kształtowania się wiedzy medycznej w odniesieniu do polio. Przy czym Autor nie ma ambicji formułowania daleko idących uogólnień. Jego książka może być jednak źródłem ciekawych wniosków dotyczących mechanizmów ustalania się wiedzy medycznej w końcu XIX i pierwszej połowie XX w. Williams z dużą przenikliwością pokazuje, jak medycyna próbowała poradzić sobie z epidemiami choroby Heinego–Medina. Z całą pewnością nie jest to opowieść o linearnym postępie. Przybliża zarówno przełomowe odkrycia, jak i ślepe uliczki, w które zapuszczali się poszczególni badacze. Stara się też pokazać mechanizmy podejmowania decyzji oraz czynniki wpływające na kształt prowadzonych badań.

Autor koncentruje na opisie poszukiwań skutecznych metod walki z wirusem polio od momentu, kiedy nabrały one znacznego przyspieszenia. Nie zapomina jednocześnie odnotować pionierskich odkryć dotyczących polio. W rozdziale pierwszym skupia się na ewolucji wiedzy medycznej na temat polio w końcu XVIII i w XIX w. Poczynając od pierwszego systematycznego opisu autorstwa angielskiego lekarza Michaela Underwooda, poprzez przełomową w połowie XIX w. pracę Jakoba von Heinego, a kończąc na dokonaniach szwedzkich epidemiologów Karla Oscara Medina i Ivara Wickmana, pokazuje powolny rozwój wiedzy o chorobie, która w XIX w. była bardziej medyczną ciekawostką niż istotnym problemem społecznym.

Te pierwsze odkrycia i systematyczne obserwacje były autorstwa głównie europejskich lekarzy. To także w Europie, a dokładnie w Wiedniu, Karl Landsteiner dokonał przełomowego dla dalszych badań odkrycia — dowiódł wirusowego podłoża choroby. Jednak przypadająca na pierwszą połowę XX w. intensyfikacja badań nad metodami zapobiegania oraz leczenia nastąpiła po drugiej stronie Atlantyku i bezpośrednio wiązała się z pojawieniem się dużych epidemii w USA. Nie może zatem dziwić, że Autor kieruje swoją uwagę na działania podejmowane w tym kraju. Warto jednak podkreślić, i jest to niezaprzeczalna wartość pracy Williamsa, że nie zawęża perspektywy, redukując polio do problemu wyłącznie amerykańskiego. Umieszczenie opisywanych zjawisk i wydarzeń w szerokim kontekście oraz odwoływanie się do doświadczeń pochodzących z różnych krajów wpływa nie tylko na atrakcyjność lektury, ale także pozwala na znaczenie lepsze zrozumienie meandrów badań nad polio w XX w.

Zakres tych badań, a także zainteresowanie nimi opinii publicznej były pochodną strachu, jaki w amerykańskim społeczeństwie wywoływała choroba

Heinego–Medina. Jak przekonuje Autor, przerażenie nie brało się ze szczególnie wysokiej zapadalności czy śmiertelności. Autor trafnie identyfikuje właściwe źródło lęku: „Lęk, jaki wywoływało polio, znacznie przewyższał faktyczne zagrożenie z nim związane, ponieważ choroba mogła dotknąć dziecka nawet z najczystszej, najbezpieczniejszego domu. Jeśli ospa była masowym mordercą, polio można nazwać snajperem — tym groźniejszym, że nikt nie wiedział, skąd mogą paść strzały” (s. 2)³.

Próby znalezienia remedium miały swój dziś świetnie znany finał — masowa immunizacja stosowana od połowy lat pięćdziesiątych zapewniła wygaszenie epidemicznego polio. Jak przekonuje Williams, zastosowanie szczepionki stało się zwieńczeniem długiego i pełnego dramatycznych zwrotów akcji procesu, w którym geniusz jednych mieszał się ignorancją innych, a spektakularne kroki milowe były równie częste, jak chybione rozwiązania.

Na szczególną uwagę zasługują te części książki, w których Autor skupia się na pokazaniu mechanizmów ustalania się wiedzy i praktyki medycznej: jakie czynniki decydowały o powodzeniu danych idei czy rozwiązań w badaniach nad polio. Operując na konkretnych przykładach, dowodzi, że, przynajmniej na gruncie amerykańskim, trafność odkrycia była ważna nie bardziej niż autorytet odkrywcy i stojące za nim środki finansowe. Obserwacje takie zawarte są już w rozdziałach poświęconych poszukiwaniu przyczyn polio (Rozdz. 3 i 4), ale rozwinięte zostają przede wszystkim w części dotyczącej badań nad drogą szerzenia się zakażenia oraz szczepionkami.

Omawiając dokładnie kwestię debaty na temat wrót zakażenia, Autor pokazuje, jak destrukcyjny wpływ na postępy badań nad chorobą miało zdominowanie ich przez jeden ośrodek — Instytut Rockefellera, a właściwie przez pomysły jego dyrektora Simona Flexnera. Największym problemem było nawet nie to, że zaproponowane przez niego jeszcze na początku XX w. wyjaśnienie, wedle którego wirus dostawał się do organizmu przez nos, okazało się błędne, ale że przekonanie owo wspierane autorytetem Flexnera i powagą instytucji, której szefował, zostało obalone ostatecznie dopiero w latach trzydziestych. Stało się tak, mimo że prowadzone przez europejskich epidemiologów badania jednoznacznie wskazywały na fekalno-oralną drogę szerzenia się choroby. W tym miejscu Williams bardzo umiejętnie pokazuje pozaamerykański kontekst badań. Ale przede wszystkim wskazuje, jak poważne konsekwencje może mieć przywiązanie do dogmatów i oparcie badań nie tyle na sile argumentów, ile na powadze autorytetu.

Podobne wnioski zawarte są też w rozdziałach, w których Williams przedstawia drogę prowadzącą do przygotowania działającej szczepionki przeciw chorobie Heinego–Medina. Kiedy w 1908 r. Landsteiner dowodził wirusowego

³ „Yet polio punched far above its weight in its power to terrify, because it could pick off children from inside the cleanest, most secure household. If smallpox was a mass murderer, then polio was a sniper, and all the more menacing because nobody could see where the fatal shots had come from”.

pochodzenia polio, wypracowanie metody immunizacji wydawało się kwestią nieodległej przyszłości. W rzeczywistości zajęło niemal pół wieku, a jak pokazuje recenzowana publikacja, była to tyleż walka z trudną do okiełznania naturą, co batalia ludzi walczących o wpływy i uznanie. Szczególnie interesująca wydaje się zaproponowana przez Autora interpretacja wydarzeń związanych z pierwszymi i nieudanymi szczepieniami przeprowadzonymi niezależnie przez Maurice'a Brodiego i Williama Parka oraz Johna A. Kolmera w połowie lat trzydziestych. Obydwa rywalizujące zespoły nie ustrzegły się istotnych błędów. Przy czym u 10 spośród ponad 10 tys. dzieci zaszczepionych przez Kolmera wystąpiło polio. Na wszystkich trzech badaczy spadła ostra krytyka, a dalszych prób zaniechano. W literaturze przedmiotu na ogół przyjmuje się, że to wadliwe przygotowanie szczepionki i błędy metodologiczne przy opracowywaniu danych zadecydowały o fiasku przedsięwzięcia⁴. Williams proponuje odmienne wyjaśnienie. Zaprzestania szczepień nie interpretuje jako prostej konsekwencji braku staranności badaczy, ale widzi w tym raczej udaną próbę obrony istniejącego *status quo*. Jak dowodzi, chodziło nie tyle o walkę z nierzetelnymi badaniami, ile o utrzymanie w mocy sformułowanego 20 lat wcześniej twierdzenia Flexnera, że przygotowanie skutecznej i bezpiecznej szczepionki przeciw polio nie jest możliwe. W opinii Autora surowa krytyka tych pionierskich prac była niewspółmierna do zagrożenia, jakie mogły powodować. Punktem odniesienia są dla niego nie późniejsze udane próby z lat pięćdziesiątych, ale metody leczenia i zapobiegania polio stosowane w latach trzydziestych – budzące nie mniejsze wątpliwości niż ówczesne szczepionki.

Kłęska pierwszych prób immunizacji miała poważne konsekwencje, nie tylko dla trójki twórców szczepionek. Wstrzymała prace nad kolejnymi na następne kilkanaście lat. Jak obrazowo pisze Autor: „tak jak głowy zdrajców umieszczone na murach średniowiecznego miasta, tak oni [Kolmer, Park i Brody – M.S.] stali się ostrzeżeniem dla innych chcących podążać tą samą niebezpieczną ścieżką” (s. 186)⁵.

W ujęciu Williamsa nauka, widziana oczywiście w specyficznym fragmencie, jawi się jako świat brutalnej walki, w której stawką jest nie tyle bogactwo czy materialne profity, ile sława i wpływy, a motorem działania – potrzeba zdystansowania rywali. Autor pokazuje tę rywalizację w różnych obszarach i na różnych poziomach. Przybliży proponowane metody uchronienia się przed zakażeniem – z reguły nieskuteczne, bo oparte na błędnych przesłankach; stara się zaprezentować zróżnicowane, a czasami szokujące sposoby leczenia, a wreszcie spory dotyczące metod rehabilitacji.

Najbardziej jaskrawe formy konkurencja przybrała jednak na ostatnim, uwieńczonym sukcesem, etapie prac nad szczepionkami (rozd. 9 i 10). Jonas

⁴ J. Paul, op. cit., s. 259–260; D.M. Oshinsky, *Polio. An American Story*, s. 57–58; D.J. Wilson, *Polio*, Santa Barbara 2009, s. 38.

⁵ „like the heads of traitors stuck up around the walls of medieval city, they were also a warning to others not to go down the same dangerous path” (s. 186).

Salk, Albert Sabin i Hilary Koprowski prowadzili ostrą i niekiedy bezpardonową rywalizację. Początkowo zwycięzcą tego swoistego wyścigu został Salk, którego metodę zastosowano przy pierwszej masowej immunizacji w USA. Jednak ostateczny triumf należał do Sabina — to jego szczepionka wyparła rozwiązanie Salka. Koprowski, absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, który wyemigrował z Polski tuż przed wybuchem II wojny światowej, był autorem pierwszej działającej szczepionki, ale dość wcześnie przestał się w tej rywalizacji liczyć. W latach dziewięćdziesiątych tak oceniał te wydarzenia: „Na świecie uznano szczepionkę Sabina. [– –] Czy czułem się pokrzywdzony? Oszukany? Zraniony? Może po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że w nauce nie ma jednoznacznego zwycięstwa. Że nie wystarczy być po prostu dobrym, żeby zyskać uznanie. Że to za mało”⁶.

Opisywana przez Williama intensyfikacja badań nad polio nie byłaby możliwa bez mocnego wsparcia finansowego. Jest to jeden z istotniejszych tematów poruszanych w pracy (w szczególności w rozdz. 6). Najwięcej uwagi poświęca Autor organizacjom charytatywnym powstałym z inicjatywy Franklina D. Roosevelta — President’s Birthday Ball Commission oraz jej następcy — National Foundation of Infantile Paralysis (NFIP). Podkreślając znaczenie NFIP w doprowadzeniu do wygaszenia epidemii, analizuje jednocześnie mechanizmy działania potężnej instytucji, na swój sposób rozwijając cytowaną wyżej gorzką konstatację Koprowskiego.

Ostatnie rozdziały pracy są niejako dodatkiem do zasadniczej treści książki. W rozdziale 11 Autor zajmuje się ruchami antyszczepionkowymi w kontekście polio, ale też innych chorób zakaźnych — zarówno obecnie, jak i w przeszłości. Rozprawia się przy tym z mitami dotyczącymi szczepionki Koprowskiego jako rzekomego źródła wirusa HIV. Wreszcie w rozdziale 12 przedstawia współczesność polio jako choroby, która wciąż pozostaje zagrożeniem w takich krajach, jak Nigeria, Afganistan czy Pakistan.

Recenzowana publikacja jest z całą pewnością warta uwagi. Nie przynosi radykalnie nowych ustaleń, jeśli chodzi o stan badań nad historią epidemii choroby Heinego–Medina. Jednak jej niewątpliwą zaletą jest ciekawe podejście do znanego tematu, zaproponowanie nowych interpretacji znanych faktów i konsekwentne obserwowanie zjawisk w szerokiej perspektywie. Dla polskiego czytelnika szczególnie interesujące może okazać się wyeksponowanie w książce jako jednego z jej głównych bohaterów H. Koprowskiego, który zwykle, i niesłusznie, znajduje się w cieniu swoich bardziej znanych rywali.

Marcin Stasiak
(Kraków)

⁶ H. Koprowski, *Wygrać każdy dzień*. Spisała Agata Tuszyńska, Warszawa 1996, s. 98.

Czesław Chrząszcz, *Wychowawcy elit. Działalność katechetów galicyjskich szkół średnich w latach 1867–1918*, Kraków 2014, Wydawnictwo M, ss. 395

Ks. Czesław Chrząszcz zajmował się już wcześniej działalnością katechetów szkół średnich autonomicznej Galicji, a efekty jego badań można było poznać m.in. dzięki książce „*Mniej sensacji, a więcej rozważil!*”. *Pozaszkolne formy pracy wychowawczej katechetów galicyjskich szkół średnich w latach 1890–1918*, Kraków 2005. O ile pierwsza jego książka skupiała się na przykładach aktywności katechetów szkół poza obszarem placówek oświatowych, tak tym razem podjął on próbę stworzenia portretu zbiorowego badanej grupy w całym okresie autonomicznym.

Zadanie, które postawił przed sobą Autor, nie było łatwe, gdyż pomimo mnogości różnej jakości prac poświęconych szkolnictwu i oświacie Galicji lat 1867–1918 niewiele dotąd otrzymaliśmy tekstów, których autorzy mieli ambicję objęcia zagadnienia w szerszym ujęciu i... ambicje te zrealizowali na dobrym poziomie.

O znaczeniu nauki religii rzymskokatolickiej w ówczesnym systemie nauczania nikogo nie trzeba przekonywać. Szkoły średnie pod tym względem nie stanowiły żadnego wyjątku, co więcej, były one jednym z najważniejszych etapów w wyrabianiu właściwych postaw religijnych i moralnych wśród mieszkańców monarchii Habsburgów. O roli religii w nauczaniu wypowiadało się zatem nie tylko wielu kapłanów, ale i osób świeckich, w tym dyrektorów szkół czy nauczycieli. Nie ma się zatem co dziwić, że w wielu gronach nauczycielskich ksiądz prefekt był osobą cieszącą się ogromnym autorytetem — drugą zaraz po dyrektorze. W licznych wspomnieniach czy w prasie z tego okresu widać to wyraźnie — nawet prasa socjalistyczna, która nieustannie krytykowała nadmierny (jej zdaniem) wpływ ludzi Kościoła na szkołę, nie robiłaby tego tak nagminnie, gdyby zjawisko autorytetu katechetów w gronach nauczycielskich nie było tak powszechne i oczywiste dla współczesnych. Dobrze zatem, że C. Chrząszcz podjął się próby opisu i analizy działalności katechetów szkół średnich, które dotąd znaleźliśmy głównie z nielicznych artykułów, ujmujących ten temat jedynie lub głównie w wymiarze regionalnym. Wśród celów badawczych, jakie Autor postawił przed sobą, były: próba odtworzenia rzeczywistości pracy katechetów, rozwoju liczebnego, intelektualnego i zawodowego tego środowiska, przybliżenie praw i obowiązków katechetów w świetle ustaw szkolnych i przepisów kościelnych, omówienie ich statusu służbowego i uposażenia, a także przypatrzenie się misji nauczania, wychowywania i „uświęcania” swoich podopiecznych (s. 11). Tym niełatwym zadaniom Autor sprostał w dużej mierze, wypełniając poważną lukę w naszej historiografii. Przedstawiona książka pod wieloma względami jest pionierska i potrzebna — nie wątpię, że stanie się ważny głos w ogólnej dyskusji nad kondycją, formami i kierunkami galicyjskiego szkolnictwa.

Przyjęta struktura pracy jest logiczna i klarowna. Poza wstępem i zakończeniem obejmuje ona cztery rozdziały zasadnicze podzielone dodatkowo na

podrozdziały (1. „Status katechetów galicyjskich szkół średnich”, 2. „«Nauczyciel oświecający» — praca nad formacją intelektualną uczniów”, 3. „«Duszpasterz wychowujący» — praca nad formacją moralną podopiecznych”, 4. „«Kapłan uświęcający» — troska o formację duchową młodzieży”). Już we wstępie Autor zastrzegł się, że nie podjął się napisania studium prozopograficznego i wszelkie dane liczbowe podał jedynie w stopniu szacunkowym. Szkoda, bo próba, nawet szacunkowa, ujęcia ilościowego badanych zjawisk ukazałaby ich skalę (liczba kapłanów-katechetów i różne zagadnienia z tym związane, np. tendencje dominujące w przypadku ich wykształcenia, pełnionych funkcji zawodowych w hierarchii kościelnej, itd.). Można jedynie mieć nadzieję, że tego typu badania Autor jeszcze podejmie, bo — sądząc po jakości jego pracy — jest do nich przygotowany jak mało kto.

C. Chrząszcz w swoich wywodach oparł się na bardzo szerokim zasobie źródeł archiwalnych (bo chyba te ma na myśli, pisząc na s. 12: „Podstawę pracy stanowiły źródła historyczne”). Dominują w nich źródła archiwalne proveniencji kościelnej, a geograficznie — z obszaru diecezji krakowskiej. O ile Autor uczciwie napisał o trudnościach w dotarciu do źródeł, zwłaszcza z obszaru diecezji przemyskiej, zaznaczając, że świadom jest dominacji przykładów z terenu zachodniej Galicji w opisywanych zjawiskach, o tyle chyba nie do końca zdał sobie sprawę z przewagi źródeł kościelnych nad innymi. Pomimo tego bowiem, że Autor wykorzystał zbiory innych archiwów (krajowych i zagranicznych), to ich zestawienie wskazuje na niewystarczające (moim zdaniem) wykorzystanie Archiwum Akt Głównych w Warszawie i Centralnego Państwowego Archiwum Historycznego Ukrainy we Lwowie pod kątem opisywanych zjawisk. Obraz, który nakreślił Autor, poddany głównie ocenie przełożonych kościelnych, można było jednak w szerszym zakresie ukazać z punktu widzenia uczniów. W całej pracy Autor bardzo ostrożnie korzysta ze wspomnień uczniowskich. A przecież to uczniowie byli bezpośrednio celem działalności pedagogicznej katechetów i ci z nich, którzy pozostawili po sobie wspomnienia, bardzo często wspominali nauczycieli religii na pierwszym miejscu. Niewiele jest w obrazie katechetów w ujęciu ks. Chrząszcza z tego, co napisali o katechetach ich przełożeni świeccy, koledzy-inni nauczyciele, ówczesna prasa lokalna oraz sami uczniowie¹.

¹ Np. na s. 120 Autor powołał się na ocenę metod nauczania katechety gimnazjum dębickiego ks. Błażeja Kotfisa, pióra dziekana ropczyckiego ks. Eugeniusza Wolskiego z 1913 r. Niemniej jednak skonfrontowana ona z kilkoma relacjami dyrektora Józefa Szydłowskiego i wizytatora Emanuela Dworskiego z lat wcześniejszych, a także ze wspomnieniami uczniów daje już bardziej skomplikowaną charakterystykę tej postaci — ze źródeł świeckich wynika jednoznacznie, że katecheta ten pod kątem przygotowania intelektualnego, jak i w relacjach interpersonalnych pozostawiał sporo do życzenia, co... nie stanęło na przeszkodzie, by w wolnej Polsce został on dyrektorem szkoły, w której przez wiele lat pracował. Piszę o tym szerzej w tekście: „*Grono nauczycielskie już nie jest tak zharmonizowane jak było dawniej*” — *środo środowiska profesorów dębickiego gimnazjum przed I wojną światową*, w: *Provincia galicyjska wokół I wojny światowej. Konteksty — porównania — przykłady*, red. T. Pudłocki, A.S. Więch, Przemyśl 2014, s. 9–21.

Stwierdzenie to niekoniecznie musi być zarzutem — wszak w licznych publikacjach poświęconych szkołom galicyjskim dominują te źródła, które w monografii ks. Chrzęszcza wykorzystane są w stopniu znikomym. Autor zaś wprowadził do obiegu naukowego te ich rodzaje, które do tej pory w niewystarczającym stopniu wykorzystywali inni badacze. Za to na pewno należą mu się słowa uznania. Warto jednak pamiętać, że obraz katechetów (jak i każdego tematu, którym się zajmujemy) różni się w zależności od rodzaju źródeł, który jest wykorzystywany i uważny badacz musi być tego świadomy.

Tytuł książki ks. Chrzęszcza nie jest precyzyjny — omawia działalność katechetów rzymskokatolickich, a nie wszystkich katechetów szkół średnich w Galicji. Oczywiście była to największa grupa nauczycieli religii w ówczesnej Galicji, bynajmniej nie tylko w szkolnictwie średnim, ale wiadomo, że nie jedyna. Szkoda zatem, że nie doprecyzowano tytułu lub przynajmniej nie dokonano studiów porównawczych funkcjonowania w strukturach szkolnictwa katechetów rzymskokatolickich i greckokatolickich (niezmiernie ważnych zwłaszcza w Galicji Wschodniej). Cezura końcowa pracy też nie jest chyba najlepiej dobrana. Oczywiście rok 1918 to koniec funkcjonowania organizmu państwowego, jakim była monarchia Habsburgów, i z pozoru data wydaje się logiczna. Pomimo tego Autor zupełnie nie uwzględnił realiów I wojny światowej, która może drastycznie nie zmieniła prawnych warunków pracy katechetów, ale już na codzienność szkolną wpłynęła mocno. Co więcej, czytelnik nie dowie się, jaką rolę odgrywali katecheci rzymskokatolicki jako wychowawcy polskości w latach wojny 1914–1918, a przecież konflikt ten mocno przewartościował postawy wielu nauczycieli, w tym katechetów. To dwa ważne zastrzeżenia, które trzeba przyjąć przy lekturze niniejszej książki.

Rozdział 1 o statusie katechetów galicyjskich szkół średnich to jedna z najważniejszych części pracy. Choć pisano wielokrotnie o znaczeniu katechetów, to właściwie dopiero Autor tak szczegółowo i dokładnie omówił prawa i obowiązki nauczycieli religii, ich zróżnicowanie w świecie ówczesnych przepisów szkolnych, kompetencje władz świeckich i kościelnych w pragmatyce służbowej katechetów, działalność konsystorza biskupich wobec katechetów, funkcję, jaką katecheci pełnili w poszczególnych gronach nauczycielskich, ale także w diecezjalnych strukturach władzy. Autor uwypuklił przy tym dobrą podstawę materialną ich utrzymania. Ostatnie zagadnienie omówił, porównując zarobki katechetów m.in. z pensjami proboszczów parafii, wikarych czy katechetów w szkołach ludowych (zaznaczył jednak, że grono rzeczywistych nauczycieli religii stanowiło około 20% wszystkich księży zatrudnionych w szkołach średnich, a dochody suplentów bądź pomocników katechetów były znacznie skromniejsze). A przecież poza dobrymi finansowymi podstawami utrzymania katecheci cieszyli się w środowiskach miejscowych dużym prestiżem. Autor wskazał, jakie okoliczności go wzmacniały (działalność społeczna, naukowa, polityczna, pełnienie ważnych funkcji w życiu danych środowisk miejskich). Słusznie Autor nie zamknął przykładów awansu katechetów chronologicznie na roku 1918.

W rozdziale 2 Autor omawia pracę katechetów nad formacją intelektualną uczniów, poruszając wiele istotnych wątków, takich jak przygotowanie merytoryczne katechetów czy stosowane przez nich metody nauczania. Wielkim plusem rozdziału jest porównywanie systemu nauczania kleryków w poszczególnych diecezjach, ukazywanie dynamiki zmian w podejściu do uczniów, np. wpływ „nowego wychowania” (reformatorskiego ruchu pedagogicznego, rozwijającego się w pierwszej połowie XX w. w wielu krajach Europy, zmierzającego do odnowy szkoły, treści i metod kształcenia i wychowania) na metodykę pracy katechetów i próby przeszczepiania jego ideałów na grunt miejscowy. Autor, pokazując dominujące tendencje pedagogiczne, nie pominął przy okazji ważnych osób, które, jak np. księża Walenty Gadowski czy Teofil Łękawski, przyczynili się do ukształtowania własnego systemu pedagogicznego.

W rozdziale tym czytelnik znajdzie sporo informacji o ówczesnej codzienności szkolnej, rozkładzie materiału katechezy oraz dydaktyce. Autor bardzo dokładnie poddał analizie dyskusje, jakie toczyły się na temat doskonalenia zawodowego katechetów, a zwłaszcza bardziej efektywnego nauczania, poprzez dobór właściwych środków. W dużej mierze wykorzystał nie tylko archiwalia kościelne, ale i prasę katolicką, w tym specjalistyczną. Autor omówił też zagadnienie kontroli lektur uczniowskich. Ten problem był przedmiotem szczególnej troski księży. Kłopot polega na tym, że Autor uwypuklił tylko przykłady pozytywne. W taki sam sposób omówił inne pozalekcyjne formy kształcenia religijnego. Warto jednak pamiętać, że część z tych form wynikała z ówczesnych przepisów szkolnych, które zmieniały się w poszczególnych latach i uległy liberalizacji na początku XX w. Autor zaznaczył, bardzo słusznie, że w wielu galicyjskich gimnazjach katecheci uczyli nie tylko religii. Przytoczone przez niego przykłady nauczania przez nich innych przedmiotów (s. 157–158) można by jeszcze mnożyć. Szkoda jednak, że Autor nie podjął próby ukazania wielkości zjawiska oraz tego, w jaki sposób lekcje przedmiotów świeckich prowadzone przez duchownych były oceniane przez ich przełożonych czy uczniów.

Metody nauczania, brak przygotowania dydaktycznego dużej części katechetów (o czym Autor pisze) oraz ich niewłaściwe podejście do obowiązków szkolnych i pozaszkolnych powodowały, że wielu gimnazjalistów traktowało praktyki religijne jako swoistego rodzaju przymus i bynajmniej nie umocniło się w wierze. „Naloty na stancje”, przeglądanie księgozbioru uczniowskiego czy stosowany przy spowiedziach obowiązkowych system kartkowy były przez większość uczniów wspominane jak najgorzej. Kwestie te Autor opisał bardzo pobieżnie. W przypadku systemu kartkowego przywołał wspomnienia ks. Józefa Winkowskiego z czasów uczniowskich (s. 289). Ten zaś, jako późniejszy katecheta, sam go po latach egzekwujący, pozostawił pozytywny jego opis. Pytaniem jednak niebezzasadnym jest to, czy wspomnienia ks. Winkowskiego były typowe dla ówczesnych wspomnień byłych gimnazjalistów, czy raczej wyjątkowe. Również przykład ks. Józefa Drozda, który dostał w 1911 r. „dyplom uznania za pracę na rzecz sanacji jakości uczniowskich stancji” w Sanoku (s. 247), nie jest najlepiej

dobrany. Kapłan ten pozostawił we wspomnieniach uczniowskich zarówno z czasów przemyskich, jak i sanockich jak najgorsze ślady poprzez brak wyważenia i nadmierną gorliwość w wypełnianiu obowiązków.

Z drugiej strony łatwo zauważyć zjawisko odwrotne — dodatni wpływ katechetów na wyrabianie religijności i moralności swoich podopiecznych. Widać to choćby po wzroście powołań kapłańskich w omawianym okresie, na co przecież w dużej mierze musieli mieć wpływ katecheci. O obu przeciwstawnych zjawiskach jednak ks. Chrząszcz prawie wcale nie wspomniał. Naturalnie trudno zmierzyć rezultaty działalności katechetów szkół średnich, co wcale nie oznacza, że prób opisu zjawiska nie można podejmować. A skoro księżmi mogli zostać tylko absolwenci gimnazjów (o czym Autor szeroko i szczegółowo napisał), to wzrost lub liczba powołań wynikały m.in. z pewnej polityki Kościoła na makro- lub mikro poziomie (choćby np. właśnie z działalności poszczególnych katechetów). Naturalnie problematyka ta wymaga bardzo szczegółowych i ostrożnych badań.

Wątek odbioru działalności katechetów przez uczniów najlepiej widać w rozdziale 3. Autor wykazał tu, jak trudna i odpowiedzialna była praca katechety i jak wiele zależało od jego postawy. To rozdział napisany w sposób interesujący, w którym Autor postawił wiele ważnych kwestii: katecheci jako wychowawcy klas, strażnicy moralności młodzieży, inicjatorzy zbiorów na potrzeby ubogich i licznych form pozaszkolnej działalności młodzieży, np. animatorzy życia muzycznego. Uwypuklił różne postawy księży katechetów; przyjrzał się przy tym ich dylematom i nieufności wobec nowych wyzwań epoki. Niezmiernie interesujące są rozważania C. Chrząszcza na temat egzort szkolnych (kazań adresowanych do młodzieży) i trudności, jakie sprawiały one nie tylko słuchaczom, ale przede wszystkim ich autorom. Dzięki temu czytelnik otrzymał plastyczny obraz bynajmniej nie dyskredytujący opisywanej grupy, lecz wskazujący na to, że i wśród niej znajdowały się jednostki nie zawsze przestrzegające przepisów i stanowiące wzór do naśladowania. Może właśnie dzięki temu udało się paradoksalnie ukazać, że wśród katechetów dominowały jednak postawy pozytywne i stanowili oni grupę cieszącą się prestiżem nie tylko u władz szkolnych, ale i uczniów.

Także wysoko należy ocenić rozdział 4 recenzowanej książki poświęcony mnogości różnych form podtrzymywania i rozwijania religijności wśród członków społeczności szkolnych. Ks. Chrząszcz wskazuje, że ich duża liczba nie oznaczała, że były skuteczne. Z tego ambiwalentnego oddziaływania zdawali sobie sprawę nie tylko dyrektorzy, ale i sami katecheci. Autor szczegółowo opisał, co przedsięwzięli księża, aby liczne i niekiedy długie nabożeństwa przyczyniały się do wzmacniania postaw moralnych i religijnych.

Uzyskany obraz pracy szkolnej katechetów, zgrabnie podsumowany w zakończeniu, wystawia im jako grupie jak najlepsze świadectwo — mimo iż nie wszyscy byli wzorami, czy to jako nauczyciele, czy jako kapłani. Autor wskazał przy tym na dynamikę zmian w pracy katechetów — kolejne pokolenia pracujących w szkołach średnich księży tworzyli bowiem ludzie o wiele bardziej świadomi

swoich kompetencji i współpracujący ze sobą niż ich poprzednicy sprzed lat dziewięćdziesiątych XIX w. Zastosowana metoda badawcza (analityczno-syntezytyczna) pozwoliła ks. Chrzęszczowi ukazać bowiem całe spektrum różnorodności opisywanego zjawiska.

W bibliografii podział źródeł nie do końca jest klarowny. Stąd w dziale „Inne” znajdziemy drukowane prace katechetów ogłaszane drukiem w sprawozdaniach szkolnych, które ujęte zostały w innym dziale; *Kalendarzyk Profesorski TNSW za rok 1918* znalazł się w dziale „czasopisma”. Dobór wykorzystanych sprawozdań, choć szeroki i imponujący, też nie do końca jest jasny. Można było wyjaśnić we wstępie, jakimi kryteriami kierował się Autor, wykorzystując taką, a nie inną liczbę drukowanych sprawozdań dyrekcji danej szkoły. Wydaje mi się też, że liczba wykorzystanych opracowań dotyczących szkolnictwa średniego jest dość skromna.

Gimnazjum św. Anny w Krakowie nie było najstarszą szkołą średnią w Galicji (s. 42, przypis 130). Ks. dr J. Drozd zanim został katechetą w gimnazjum sanockim, był nim w I gimnazjum przemyskim, i to w Przemyśle, a nie w Sanoku pełnił wszystkie wymienione przez Autora funkcje społeczne (s. 52). *Tabela służbowa* ks. Drozda w Archiwum Archidiecezjalnym w Przemyśle, na którą się powołuje Autor, mówi o aktywności Drozda w Przemyśle, nie w Sanoku. To oczywiste, że Autor miał niewielkie szanse zweryfikowania danych wielu postaci o zasięgu lokalnym, o których wiadomości są w trudno dostępnych, niskonakładowych wydawnictwach, ale z drugiej strony sama choćby liczba słowników i lokalnych encyklopedii, które użył w publikacji, jest niewielka. Z błędów czysto mechanicznych chciałbym uwypuklić tylko dwa. Ks. Franciszek Lisowski był – z czego Autor zdaje sobie doskonale sprawę – biskupem ordynariuszem diecezji tarnowskiej, a nie przemyskiej (s. 57). Niekiedy Autor niekonsekwentnie stosuje w przypisach stosowne skróty w zapisie powoływanych prac, np. na s. 127 przypis 113 jest dokładnym powtórzeniem przypisu poprzedniego, choć nie powinien być przepisany *in extenso*. To jednak błędy przypadkowe i niezwykle rzadkie.

Podsumowując, recenzowana praca wnosi dużo nowych informacji do naszej wiedzy na temat działalności katechetów rzymskokatolickich gimnazjów i szkół realnych w Galicji. Została ona napisana dobrą polszczyzną i oparta na solidnych podstawach źródłowych, w dużej mierze niewykorzystywanych do tej pory w innych, podobnych pracach. Wydawnictwo opublikowało ją starannie, co też nie jest bez znaczenia w czasach, kiedy tyle książek drukuje się niechlujnie. Szkoda jedynie, że ks. Czesław Chrzęszcz, choć bardzo skrupulatnie i przekonywająco starał się udowodnić swoje tezy, tak rzadko określał skalę opisywanych zjawisk. Wierzę jednak, że pomimo moich uwag, niekiedy na pewno dyskusyjnych, będzie on kontynuował swoje badania nad katechetami szkolnymi. W *Wychowawcach elit* zrobił to bowiem z dużym znanstwem problematyki oraz wycuciem epoki.

Tomasz Pudłocki
(Kraków)

Stephan Rindlisbacher, *Leben für die Sache. Vera Figner, Vera Zasulič und das radikale Milieu im späten Zarenreich*, Wiesbaden 2014, Harrassowitz Verlag, ss. X, 364, Forschungen zur osteuropäischen Geschichte, Bd. 80

Jeżeli chcielibyśmy wyznaczyć tzw. słowa kluczowe dla niniejszej książki, należałoby zasygnalizować co najmniej trzy zakresy tematyczne: historia Rosji „od caryzmu do bolszewizmu”, historia kobiet, dzieje terroryzmu. Wszystkie są od dawna przedmiotem intensywnego zainteresowania badaczy z różnych pokoleń, hołdujących rozmaitym opcjom metodologicznym, a nierzadko ulegających też odmiennym ideologiom. Nie ulega wątpliwości, że opanowanie najważniejszych tylko pozycji odnośnej literatury jest rzeczą nader trudną, nie wspominając już o wchodzących w grę źródłach, zwłaszcza rękopiśmiennych, przechowywanych w większości w archiwach rosyjskich. W tytule omawianej pracy wskazano dwie postacie kobiet — zawodowych rewolucjonistek, należących mniej więcej do tego samego pokolenia, których droga życiowa wiodła od ugrupowań wyznających narodnicki agrarny socjalizm lat siedemdziesiątych XIX w. do marksizmu (dodajmy od razu: w jego mienszewickiej postaci). Obie wywodziły się z pogranicza ziemiańsko-inteligenckiego, obie już za życia uzyskały status swoistych ikon antysystemowej opozycji rosyjskiej, wzorców nieprzejednanej postawy wobec panującego reżimu, przykładów bezgranicznego poświęcenia dla sprawy „wyzwolenia ludu”. Obie zachowały też po swojej śmierci pozycję w radzieckim panteonie zasłużonych rewolucjonistów, mimo że przez długi czas występowały przeciwko poglądom i działaniom politycznym Lenina i jego najbliższych towarzyszy. Oczywiście wymagało to manipulowania ich życiorysami, przemilczania lub tuszowania tych epizodów, które po 1917 r., a jeszcze bardziej w czasach stalinowskich, okazały się niezgodne z oficjalną wersją historii. Można sobie wyobrazić rozprawę poświęconą wyłącznie analizie owych manipulacji, będących przejawem kolejnych wcieleń oficjalnej polityki historycznej Związku Radzieckiego. Oprócz tych dawnych, niepełnych lub wypaczonych publikacji istnieją też jednak całkiem liczne nowoczesne opracowania naukowe, powstałe bez ideologicznych presji i cenzorskiej kontroli, a traktujące o obu tytułowych postaciach: Wierze Figner (Vera Nikolaevna Figner) i Wierze Zasulicz (Vera Ivanovna Zasulič)¹; mamy również do dyspozycji studia na temat kobiet w rosyjskim ruchu rewolucyjnym, pisane w mniejszym lub większym stopniu z perspektywy *gender studies*². Rodzi się zatem pytanie, czy i w jakim zakresie można powiedzieć

¹ Np. T.A. Bogdanova, „V.I. Zasulič v Rossijskom revolûcionnom dviženii”, Leningrad 1991 (praca doktorska); M.R. Kelly, *The Role of Vera Ivanovna Zasulich in the Development of the Russian Revolutionary Movement*, Ann Arbor 1967; E. Meinecke, *Vera Ivanovna Zasulich. A Political Life*, Binghampton 1984; A.V. Voronihin, „V.N. Figner v russkom osvoboditel'nom dviženii 1873–1884 gg.”, Saratov 1992 (praca doktorska); W. Geierhos, *Vera Zasulič und die russische revolutionäre Bewegung*, München–Wien 1977.

² Por. L.A. Harriett, *Perpetual Exile. The Dynamics of Gender, Protest and Violence in the*

o tych sprawach coś naprawdę nowego, zwłaszcza w rozprawie w sumie dosyć tradycyjnej, której autor nie epatuje jakimś wyrafinowanym metodologicznym nowatorstwem. Lektura książki młodego szwajcarskiego historyka, który od ukończenia studiów w 2007 r. pracuje jako asystent w Instytucie Historycznym Uniwersytetu w Bernie, skłania do pozytywnej odpowiedzi.

Zgodnie z sugestią zawartą w tytule mamy do czynienia z biografiami równoległymi. W kolejnych rozdziałach omówiono obok siebie środowiska społeczne i rodziny obu działaczek, ich młodzieńcze porywy, drogę do rewolucyjnych organizacji i terroryzmu, dojrzałe lata wypełnione konspiracyjną aktywnością, pobytami w więzieniach i na zesłaniu, następnie czas spędzony na emigracji, poświęcony w znacznej mierze ideowym dyskusjom i sporom z towarzyszami, pisaniu publicystycznych artykułów i wspomnień, kolejne powroty do kraju w latach umożliwiających jawną działalność polityczną (np. 1905–1906 i 1917–1918). Relacja o każdym z tych etapów została bardzo starannie udokumentowana. Ostatni rozdział („*Revolutionärinnen außer Dienst*”) prezentuje „rewolucjonistki na emeryturze” (w przypadku Zasulicz, zmarłej już w maju 1919 r., emerytura ta trwała bardzo krótko, natomiast dla Figner, która dożyła 1942 r., ciągnęła się bez końca). Po prezentacji każdego z tych okresów życia obu bohaterek Autor dokonuje porównań, zestawiając ze sobą podobieństwa i różnice, wskazuje też na sytuacje, w których ich drogi życiowe przecinały się, jak np. uroczystości ku czci uczestników walki z caratem w Petersburgu w kwietniu 1917 r., kiedy obie były z ogromną pompą honorowane.

Stephan Rindlisbacher deklaruje na początku, że nie interesują go partyjne struktury oraz ideowo-programowe spory, dobrze już poznane i opisane. Przyznając się w pewnym zakresie do inspiracji „nową biografistyką”, kładzie nacisk na życie prywatne, relacje międzyludzkie, napięcia między tym, co indywidualne i zbiorowe, troski i kłopoty związane z codziennym bytowaniem w niełatwych warunkach materialnych. Analizuje konsekwencje młodzieńczych wyborów, które w przypadku obu heroin rosyjskiego ruchu rewolucyjnego skutkowały całkowitym poświęceniem dla sprawy. Podkreśla konsekwentne na ogół w środowiskach, w których obracały się Figner i Zasulicz, przestrzeganie swoistego rewolucyjnego dekalogu. Starano się w znacznej mierze odrzucić formy mieszczkańskiego życia i wyjść poza jego ramy. Rodzinę często zastępował „kolektyw” towarzyszy. Kontestowanie zastanej rzeczywistości podkreślano ubiorem,

Revolutionary Life of Vera Figner (1852–1917), Boston 2000; B.A. Engel, *Mothers and Daughters. Women of the Intelligentsia in Nineteenth Century Russia*, Cambridge, Mass. 1983; B. Fieseler, *Frauen auf dem Weg in die russische Sozialdemokratie, 1890–1917. Eine kollektive Biographie*, Stuttgart 1995; B. Pietrow-Ennker, *Rußlands „neue Menschen”. Die Entwicklung der Frauenbewegung von den Anfängen bis zur Oktoberrevolution*, Frankfurt a. M. 1999; R. Stites, *The Women's Liberation Movement in Russia. Feminism, Nihilism and Bolshevism, 1860–1930*, Princeton, N.J. 1990. Sam poświęciłem niegdyś tym kwestiom skromny szkic (A. Szwarc, *Kobiety a rewolucyjna przemoc w Rosji w ostatnich dziesięcioleciach XIX i na początku XX wieku*, w: *Kobieta i świat polityki. Polska na tle porównawczym w XIX i w początkach XX wieku*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, Warszawa 1994, s. 169–180).

co było szczególnie wyraźne w młodszym wieku. W modzie był ascetyzm, często zresztą wymuszony sytuacją; nie przywiązywano wagi do wyglądu zewnętrznego, wyposażenia mieszkania, składu posiłków. Najważniejsze były niekończące się rozmowy. Naśladowano po części literackie wzorce „nowych ludzi”, obecne m.in. w twórczości Nikołaja Czernyszewskiego, Iwana Turgeniewa i innych pisarzy.

W tych właśnie ramach należy, zdaniem Autora, rozpatrywać odchodzenie od tradycyjnych ról przypisywanych kobietom. Nierzadkie było lekceważenie drobnych spraw gospodarstwa domowego, kojarzących się zarówno mężczyznom, jak i kobietom z „radikalnego milieu” z drobnomieszczańskim stylem życia (notabene Autor zauważa, że w dzieciństwie i wczesnej młodości zarówno u Figner, jak i Zasulicz zajmowała się tym służba). Natomiast ubiór i sposób uczesania, odbiegający od wzorów typowych dla ówczesnych elit społecznych, bywał, co częste w przypadku najrozmaitszych grup kontrkulturowych, zwłaszcza młodzieżowych, wyrazem manifestowania osobnej tożsamości i symbolem buntu. Szczególnie w latach siedemdziesiątych XIX w. „nihilści i nihilistki”, jak ich wówczas nazywano, obnosili się ze zbyt krótkimi (kobiety) lub zbyt długimi (mężczyźni) włosami oraz ubraniami, które sprawiały wrażenie zaniedbanych. „Rewolucyjna moda” miała kojarzyć się z prostotą ludowego odzienia, ale nie oznaczało to prostego naśladownictwa, chyba że z przyczyn konspiracyjnych starano się czasowo upodobnić do robotników czy chłopów. Przyczyną takiego kamuflażu bywała także chęć zdobycia zaufania tych ostatnich celem łatwiejszego uprawiania politycznej agitacji. Różnice kulturowe były jednak trudne do przezwyciężenia. Rindlisbacher skwapliwie sięga do źródeł wskazujących, że owi inteligentcy agitatorzy traktowani bywali nieufnie, jako swego rodzaju przebiegaczy. Przykre nieraz doświadczenia na ogół nie osłabiały w nich jednak swoistej sakralizacji abstrakcyjnego ludu, jako przyszłego aktora i beneficjenta rewolucji, której perspektywa godna była wszelkich osobistych wyrzeczeń i poświęceń.

W polu obserwacji Autora znalazły się także formalne i nieformalne związki obu rewolucjonistek. Zgodnie z panującymi w ich środowisku zasadami odrzucały one tradycyjny model rodziny. Figner miała za sobą młodzieńcze małżeństwo z człowiekiem, który zrazu zdawał się dzielić z nią wspólne ideały, ale nie dał się przekonać do ostatecznego zerwania z zawodową karierą i do życia w politycznej konspiracji, zagrożonego w każdej chwili aresztowaniem, katorgą i zsyłką. Zasulicz spędziła na emigracji kilka lat z towarzyszem walki Lwem Deutschem (Lev Grigor’ewiĉ Dejĉ), ale i ten związek nie wytrzymał próby czasu, wyjazdu Deutscha do Rosji oraz jego zesłania. Później znalazł on sobie inną partnerkę, a z dawną rozdzieliły go także odmienne polityczne przekonania, choć w gruncie rzeczy pozostali przyjaciółmi. W sumie obie rewolucjonistki nie założyły trwałych rodzin i nie doczekały się dzieci, co dało o sobie znać, gdy nadeszła samotna starość. Oczywiście Autor zdaje sobie sprawę, że analizowane przezeń przykłady nie wystarczają do wyciągania ogólniejszych wniosków. Mogą im przeczyć udane na ogół małżeństwa (mniejsza o to, czy formalne, czy nie) Gięorgija Plechanowa (Georgij Valentinoviĉ Plehanov) lub samego Lenina,

mocno związanych ze swoimi „towarzyszkami walki i pracy”. Trafne jest jednak spostrzeżenie Rindlisbachera, że zaangażowane bez reszty kobiety miały mniejsze szanse na długotrwałe rodzinne szczęście. Nadeжда Krupska (Nadeжда Konstantinovna Krupska) czy Rozalia Plechanowa (Rozaliâ Markovna Plehanova) nie były oczywiście „kapłankami domowego ogniska”, ich związki miały do pewnego stopnia charakter partnerski, uczestniczyły w niemałym zakresie w tzw. robocie partyjnej, ale ponadto opiekowały się mężami i troszczyły się po większej części o wspólne codzienne bytowanie. Tak czy inaczej, wypełniały sporą część tradycyjnej kobiecej roli. Nie aspirowały przy tym do przywództwa.

Długoletnia konspiracja, więzienie i emigracja prowadziły do daleko idącej izolacji społecznej i kształtowania się mentalności sekciarskiej. Autor zwraca jednak uwagę na znaczenie kręgu sympatyków, rekrutujących się ze środowisk zamożnej inteligencji czy nawet ziemiaństwa, dostarczających funduszy na wydawanie gazet, broszur i odezw, na pomoc więźniom i zesłańcom, czasami nawet na utrzymywanie przywódców na koszt partii. Wzajemne relacje bywały złożone, spośród sympatyków rekrutowano niekiedy kolejnych „zawodowych” rewolucjonistów, innych darzono ukrytym lekceważeniem. Postawa wobec mniej zdeterminowanych i mniej radykalnych środowisk czasami bywała nieprzejednana, innym razem bardziej elastyczna. Wzajemne relacje mogły prowadzić do odmiennych postaw wobec innych kręgów politycznych. Rindlisbacher przytacza dowody, że Zasulicz była pod tym względem bardziej bezkompromisowa niż Figner. Przywołuje m.in. fragment nieznaną, bardzo interesującą korespondencji tej pierwszej z przedstawicielką zachodnioeuropejskiego ruchu kobiecego, Alettą Jacobs. W 1912 r. zachęcała ona głośną rewolucjonistkę do udziału w kolejnym kongresie feministycznym, podczas którego miano upominać się o dalsze postępy równouprawnienia obu płci i o szerszy dostęp kobiet do oświaty czy pracy. Odpowiedź była stanowcza i dobrze oddawała ortodoksyjne stanowisko ówczesnych socjalistów: wyzwolenie kobiety może być osiągnięte jedynie w ramach szerszej walki o wyzwolenie człowieka. Zasulicz przypominała, że sama była jedną z pierwszych Rosjanek studiujących w latach siedemdziesiątych XIX stulecia w Szwajcarii i hasła równouprawnienia uważa za oczywiste. Nie chce jednak mieć nic wspólnego z organizacją, w której przeważają osoby o poglądach liberalnych i w gruncie rzeczy o „burżuazyjnych” ideałach życiowych.

Alpejska republika była nie tylko miejscem studiów, ale i wieloletniej działalności politycznej obu przedstawicielek radykalnego rosyjskiego socjalizmu. Skądinąd Zasulicz mieszkała tam i działała znacznie dłużej niż Figner, którą po aresztowaniu w 1883 r. ponad 20 lat przetrzymywano w twierdzy szlisselburskiej i na syberyjskim zesłaniu. Właśnie po szwajcarskim badaczu należało spodziewać się ewentualnych nowych ustaleń odnoszących się do genewskich czy zuryjskich kontekstów działalności rewolucyjnych kółek i partii, i to nie tylko rosyjskich, jako że okazjonalnie wspomina Autor i o współpracujących z nimi Polakach, z Ludwikiem Waryńskim na czele. Apetyt zaostrza obecność w bogatym rejestrze źródeł materiałów z takich instytucji, jak Schweizerisches Bundesarchiv w Bernie, Archives d'Etat de Genève czy Staatsarchiv des

Kantons Zürich. Niestety, pod tym względem lektura książki rozczarowuje — i to bynajmniej nie z winy badacza. Po prostu, jak się zdaje, w archiwach szwajcarskich, penetrowanych już zresztą mniej czy bardziej gorliwie przez niektórych poprzedników Rindlisbachera, niewiele jest ciekawych materiałów. Sprawdzają się one do rejestracji biegu studiów, spraw paszportowych czy wizowych. Wyjątkowo zdarzają się przypadki dokumentowania spraw ekspulsji lub nawet ekstradycji, zwykle w razie dowiedzenia czynów uznawanych za kryminalne. Brak natomiast wnikliwych policyjnych raportów, doniesień tajnych agentów, przechwyconej korespondencji. Po prostu Szwajcarów niewiele obchodzili „zagnieżdzeni” u nich „nihiliści”: niekiedy tylko zajmowali się niektórymi z nich w związku z jakąś szczególną aferą lub wyjątkowo uporczywymi naciskami rządu rosyjskiego. Charakterystyczne również, że aktywiści rewolucyjnych partii mieli bardzo ograniczone kontakty z miejscową ludnością. Przedstawiciele tej ostatniej przyglądali im się z oddali, niekiedy z niechęcią spowodowaną niezbyt bogobojnym stylem życia, ale bez szczególnego zainteresowania. Obojętność i poczucie dystansu składały się również na postawę drugiej strony. Prorocy nowego człowieka i nowego społeczeństwa nie przepadali raczej za pracowitym, gospodarnym, nieskłonny do ideowych wzruszeń szwajcarskim drobnomieszczaństwem. Znany im nie najgorzej, dobrze urządzony kraj w żadnym stopniu nie był dla nich punktem odniesienia; rosyjski lud zamierzali uszczęśliwić na inny sposób. Zresztą, gdy tylko nadarzyła się okazja skuteczniejszego działania poza granicami Szwajcarii, chętnie przenosili się do Paryża czy Londynu.

Podstawą rozważań Autora są źródła narracyjne, w sporej części drukowane, w tym całkiem liczne pozycje autobiograficzne. Poddaje je starannej krytyce, zdając sobie sprawę, że były w znacznej mierze efektem kreowania wizerunku. Realistyczne opowieści o zamachach terrorystycznych, rewolucyjnym braterstwie, nieugiętej postawie podczas więziennej czy zesłańczej epopei bywały chętnie czytane w różnych krajach (w odróżnieniu od pisanej zazwyczaj nowomową partyjnej „bibuły”). Liczono też, że pomogą zwerbować nowych zwolenników. Niektóre zawierały fragmenty świadczące o rozterkach, uczuciach i sentymentach, być może szczerze, ale służące także „ociepleniu wizerunku”. Rindlisbacher konfrontuje je z prywatną korespondencją i doniesieniami agentów ochrony, przechowywanymi w archiwach rosyjskich. W wielu listach heroiny zstępują z koturnów, dzielą się wątpieniem i stanami psychicznymi na pograniczu depresji, informują o kłopotach finansowych na skalę zagrażającą nie tylko dalszej pracy dla „sprawy”, ale wręcz fizycznemu przetrwaniu. Szukają wsparcia, utrzymują się niekiedy z kiepsko płatnych literackich tłumaczeń.

Autorowi nie sposób odmówić daru zajmującego opowiadania, nawet gdy sięga po sprawy po stokroć już opisywane (jak np. głośny proces Zasulicz z 1878 r. po zranieniu przez nią strzałem z rewolweru *gradonaczelnika* Petersburga Fiodora Trepowa (Fëdor Fëdorovič Trepov), omówiony już w przedmowie („Einleitung”), s. 1–4, a następnie bardziej szczegółowo na s. 140–153. Wprowadza się tu, i owszem, kilka nowych źródeł, dodaje parę nowych szczegółów, ale narracja niewiele odbiega od tej, którą polski czytelnik zna z dawniejszych prac

Ludwika Bazylowa i Marii Wawrykowej³. Najważniejsze przekazy źródłowe były dostępne już wiele lat temu i zarówno dawniej, jak i dziś są podstawowym tworzywem narracji; podobne w sumie są też wnioski oraz interpretacje. To samo wrażenie towarzyszy lekturze stron poświęconych tzw. sprawie Azefa (rozdz. 6, s. 262–266; Figner znajdowała się w składzie sądu partyjnego Partii Socjalistów-Rewolucjonistów rozpatrującego winę tego arcykonfidenta ochrony). Skądinąd wypada wyrazić zdziwienie, że Autor nie wykorzystał przy tej okazji cennego przekazu, jakim są wspomnienia jednego z czołowych działaczy PSR Wiktora Czernowa (Viktor Mihajlovič Černov)⁴. Znalazłby tam również sporo ciekawego materiału do innej jeszcze kwestii, którą gruntownie i interesująco omawia, mianowicie relacji między starym a nowym pokoleniem rosyjskich rewolucjonistów, pokoleniem Lenina i właśnie Czernowa, wchodzącym na scenę polityczną w latach dziewięćdziesiątych XIX w., by niebawem objąć funkcje przywódcze, a weteranom i weterankom ruchu przypisać stopniowo rolę żywych pomników.

Drobne niedociągnięcia nie wpływają na ostateczną, bardzo pozytywną ocenę książki. Należy ona pod wieloma względami do grupy biografii pretekstowych; skoncentrowana jest na charakterystyce środowiska socjalistów rosyjskich widzianych niejako od strony kulis ich politycznej działalności. Sporo wnosi do dyskusji na temat roli kobiet w tym kręgu. Zauważmy na koniec, że porusza problematykę, którą historiografia polska właściwie przestała się interesować.

Andrzej Szwarc
(Warszawa)

Péter Apor, *Fabricating Authenticity in Soviet Hungary. The Afterlife of the First Hungarian Soviet Republic in the Age of State Socialism*, London 2014, Anthem Press, ss. 215, indeks, Anthem Series on Russian, East European and Eurasian Studies

Książka węgierskiego historyka, związanego z budapeszteńskim Uniwersytetem Środkowoeuropejskim, dotyczy wydarzeń, których miejsce w węgierskiej historiografii i pamięci zbiorowej wydaje się stosunkowo poboczne. Krótkie rządy Béli Kuna nie trwały nawet pół roku, zakończyły się militarną i polityczną klęską w walce z Rumunią i Czechosłowacją, a w polityce wewnętrznej — dominacją węgierskiej prawicy. Nade wszystko jednak węgierskim komunistom nie udało się uchronić siebie przed białym terrorem, a kraju przed drastyczną redukcją terytorium, narzuconą w traktacie z Trianon. Obecnie ten epizod nie odgrywa w kulturze politycznej kraju większej roli, służąc co najwyżej skrajnie prawicowym zwolennikom teorii żydowskiego spisku wymierzonego w węgierską

³ Por. L. Bazylow, *Działalność narodziństwa rosyjskiego w latach 1878–1881*, Wrocław 1960, s. 32–43; M. Wawrykowa, *Rewolucyjne narodziństwo w latach siedemdziesiątych XIX wieku*, Warszawa 1963, s. 448–453. Jeszcze dokładniej W. Geierhos, op. cit., s. 42–77.

⁴ Por. V.M. Černov, *Pered burej. Vospominaniâ*, N'û-Jork 1953.

ojczyznę. A jednak, jak twierdzi Autor, rok 1919 stanowił przez kilkadziesiąt lat moment symboliczny i ważny dla węgierskiej kultury pamięci, klucz do odczytania najważniejszych wydarzeń XX w. Pod tym względem odegrał dużo poważniejszą rolę, niż wskazywałyby na to historia wydarzenia. *Fabricating Authenticity* opisuje wysiłki komunistycznej propagandy zmierzające do wykorzystania rewolucji węgierskiej do legitymizacji swojej władzy, przede wszystkim po stłumieniu powstania 1956 r.

Praca składa się ze wstępu, pięciu rozdziałów i epilogu. Autor rozpoczyna od zwięzłego przybliżenia historii węgierskiej rewolucji bolszewickiej oraz głównych trendów nowszej historii historiografii krajów realnego socjalizmu. Rozdział pierwszy poświęca interpretacjom rewolucji w historiografii stalinowskiej. Kolejne cztery skupiają się na reprezentacjach tego fragmentu dziejów Węgier od 1956 r. mniej więcej do połowy lat sześćdziesiątych. Epilog omawia krótko rolę pamięci o roku 1919 w politycznych i społecznych dyskusjach lat 1968–1969. Źródła, na których opiera się książka, są różnorodne. Obok prac historycznych Autor analizuje także filmy, wystawy, scenariusze oficjalnych obchodów, polemiki prasowe, akta procesowe, a także architekturę (tematem jednego z rozdziałów jest Panteon Ruchu Robotniczego na stołecznym cmentarzu Kerepesi).

Chociaż korpus źródeł w znacznej mierze opiera się na opracowaniach historycznych, książka Pétera Apora właściwie nie zalicza się do historii historiografii. Ta ostatnia nawet jeśli nierzadko koncentruje się na wynaturzeniach i fałszerstwach narracji o przeszłości, przyjmuje jednak zwykle, że mają one jakiś, choćby pokrętny, związek z faktami. W przypadku *Fabricating Authenticity* jest inaczej. Autor wielokrotnie podkreśla, że komunistyczna wizja rewolucji 1919 r. to symulakrum, fenomen z zakresu estetyki raczej niż historii. Różne rodzaje wypowiedzi odnoszące się do tego fragmentu historii traktuje więc raczej jak reprezentacje fantazmatu niż interpretacje przeszłości. Fetyszizm dokumentów, charakterystyczny dla historiografii lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX w., tylko pozornie przeczy temu spostrzeżeniu, ponieważ komunistyczni historycy manipulowali nimi i fałszowali je bez najmniejszych oporów. Ustalenie rzeczywistego przebiegu wydarzeń nie miało niemal żadnego znaczenia, liczyła się symbolika, rytuały i emocje. Działo się tak, gdyż, jak twierdzi Apor, rola tego tematu była w zupełności zależna od oficjalnej interpretacji powstania 1956 r. Dopiero to ostatnie sprawiło, że rewolucja roku 1919 nabrała sensu i znaczenia.

Nie jest to w historii realnego socjalizmu zjawisko odosobnione. „Bez Stalina nie byłoby Lenina”, napisał w latach pięćdziesiątych czeski poeta-surrealista Egon Bondy, ironicznie komentując mechanizmy tworzenia komunistycznego panteonu. W omawianym w książce Apora przypadku działał, jak się zdaje, mechanizm analogiczny do tego, który złośliwie spuentował Bondy: bez roku 1956 rok 1919 nie odgrywałby poważniejszej roli w polityce historycznej partii i w pamięci zbiorowej.

Impulsem, który uruchomił zjawisko opisane w *Fabricating Authenticity*, stało się zdobycie przez uzbrojony tłum siedziby budapeszteńskiego komitetu partii komunistycznej 30 października 1956 r. Część obrońców została rozstrzelana,

niektórych zlinczowano. Wydarzenia uwieczniono na fotografiach, które trafiły do międzynarodowej prasy, a następnie, już z odpowiednim komentarzem, zostały wykorzystane do konstruowania analogii pomiędzy białym terrorem z roku 1919 a jego kolejną odsłoną w roku 1956. Apor skrupulatnie śledzi działania propagandowe mające uzasadnić to zestawienie, podejmowane najpierw przez prasę, a następnie przez historyków, literatów i filmowców. Poszukiwali oni podobieństw zarówno w planie ogólnym (czyli zestawiając dwie „kontrrewolucje”), jak i w szczegółach. Imre Nagy miał odgrywać rolę „pożytecznego idioty”, wbrew własnej woli torując drogę do władzy skrajnej prawicy, podobnie jak kilkadziesiąt lat wcześniej socjaldemokratyczny rząd Gyuli Peidla, który zastąpił komunistyczną dyktaturę i nie zapobiegł zwycięstwu prawicy. Zajścia z października 1956 r. upodobniano do relacji o białym terrorze, dorzucając kolejne analogie z prowincji, szczegóły dotyczące morderstw na komunistycznych działaczach oraz prawdziwych i rzekomych egzekucji.

Poszukiwano także przejawów ciągłości. Opowiada o tym najciekawszy rozdział książki, analizując powojenne procesy sądowe, wytoczone funkcjonariuszom państwa węgierskich faszystów, oskarżonym o morderstwa i tortury na więźniach politycznych. Apor uwypukla wysiłki sądów i propagandy, by zbrodnie z lat 1944–1945 powiązać z represjami z roku 1919, wykazując ciągłość kontrrewolucji na poziomie kraju oraz w indywidualnych przypadkach sprawców. Dyskursywne unieważnienie kilkudziesięciu lat dzielących dwie fale terroru korespondowało z przyjęciem specyficznej perspektywy, skupionej początkowo nie na ofiarach, lecz na sprawcach. Następnie Autor pokazuje, jak ta historyczna konstrukcja została wykorzystana w Kádárovskiej propagandzie, wiążącej przemoc powstańców 1956 r. z poprzednimi falami „kontrrewolucji”. Jakby na marginesie tego procesu znacząco przerzedziły się szeregi upamiętnianych ofiar. Skoro przemoc miała charakter kontrrewolucyjny, poniekąd logicznie jej ofiarami stawać się musieli rewolucjoniści. Na ofiary z innych obozów politycznych, a także na przytłaczającą liczbowo grupę węgierskich Żydów nie było w tej optyce miejsca.

Takie podejście do przeszłości uprawnia Autora do mówienia o kontrhistorii, czyli takiej reprezentacji historii, która dąży do zastąpienia istniejących narracji własnym systemem ocen faktów i osób. W przypadku omawianym w *Fabricating Authenticity* celem było narzucenie opowieści o powracających falach faszystowskich represji wobec komunistów. W opowieści tej wszyscy ich przeciwnicy stawali się faszystami (utrzymywano zresztą, że faszyzm węgierski wyprzedził pozostałe faszyzmy europejskie), wszystkie ofiary zaś — komunistami. W intencji twórców tej wizji dopiero rok 1956 zamykał ostatecznie ów krwawy cykl definitywnym zwycięstwem nad siłami kontrrewolucji odniesionym dzięki radzieckiej pomocy.

Na przestrzeni zaledwie kilku lat (między 1956 a 1959 r.) rola rewolucji 1919 r. w propagandzie komunistycznej znacznie wzrosła. Apor opisuje, jak początkowe skupienie uwagi na terrorze oraz jego rzeczywistych i domniemych sprawcach stopniowo ustąpiło innej perspektywie. W niej rewolucja B. Kuna stała się

kluczowym ogniwem w łańcuchu postępowych tradycji. Sprzyjała temu rehabilitacja przywódcy Republiki, przypieczętowana wydaniem w 1958 r. jego pism wybranych, oraz sięgnięcie po wizualne dziedzictwo rewolucji: plakaty, obrazy i fotografie. Co prawda, podobnie jak rewolucja 1848–1849 r. czy wcześniejsze próby obalenia porządku feudalnego Republika Rad poniosła klęskę, ale było to jedynie chwilowe niepowodzenie, bo w 1956 r. udało się ostatecznie pokonać wrogów i doprowadzić walkę o postęp do szczęśliwego końca — przekonywano. Apor zwraca uwagę, że wszystkie naukowe i literackie opracowania dotyczące roku 1919 opublikowane do połowy lat sześćdziesiątych kończą się wskazaniem na wydarzenia 1956 r. Chociaż więc i wówczas białemu terrorowi i jego ofiarom poświęcano więcej uwagi niż zwycięskim rewolucjonistom, narracje kształtowane przez komunistyczne państwo odeszły od partyjnej martyrologii. Symbolicznym przejawem włączenia Republiki Rad do katalogu postępowych tradycji stało się dokooptowanie bohaterów rewolucji do Panteonu Ruchu Robotniczego na cmentarzu Kerepesi, odsłoniętego w 1960 r.

Fabricating Authenticity wyróżnia się eleganckim stylem narracji. Autor dba o przejrzystość wywodu, co niekiedy może trochę nużyć, wydłuża bowiem analizę poszczególnych problemów. Temu dążeniu należy chyba przypisać, nieliczne zresztą, niezręczności, jak na przykład *passus* tłumaczący czytelnikowi polityczne tło faktu, iż obchody 15 marca poprzedzały obchody 21 marca (s. 162–163). Skądinąd w grę mogłaby wchodzić co najwyżej rezygnacja z którejś celebry — albo tej upamiętniającej rewolucję 1848–1849 r., albo tej związanej z Węgierską Republiką Rad. Także część cytatów mogłaby zapewne bez szkody dla książki być krótsza. Być może dziełu przysłużyłoby się choć krótkie odniesienie do analogicznych fenomenów spoza Węgier. Piszącemu te słowa wydaje się, że wartościowe, przede wszystkim ze względu na ocenę wyjątkowości lub typowości komunistycznej polityki pamięci na Węgrzech, mogłoby się okazać porównanie z rolą odgrywaną w Niemieckiej Republice Demokratycznej przez „rewolucję listopadową”. Jedyne poważniejsze zastrzeżenie merytoryczne wobec książki Apora także dotyczy międzynarodowego wymiaru historii w państwach bloku wschodniego. Książkę otwiera wprawdzie bardzo zwięzły przegląd stanu badań nad historiografią i praktykami legitymizacyjnymi w tych krajach, ale w jej dalszej części porównania już się właściwie nie pojawiają. Tymczasem wydaje się, że w przypadku zjawiska tak istotnego z punktu widzenia komunistycznej władzy znajomość stanowiska władz i historyków radzieckich byłaby wartościowym uzupełnieniem.

Błyskotliwa kariera rewolucji roku 1919 w węgierskiej polityce historycznej urwała się niedługo po siedemdziesiątej rocznicy utworzenia Republiki Rad. Być może właśnie dlatego, że chodzi o przeszłość przebrzmiałą i nieodgrywającą dziś większej roli, łatwiej docenić precyzyjną analizę polityki historycznej dokonaną przez Apora. Dzięki temu wyraźniej rysuje się twórcza rola historyków, twórców kultury i polityków, w sprzyjających warunkach zdolnych nawet nie tyle do wykorzystania historii do swoich celów, ile do wydobycia z zapomnienia i wprowadzenia w przestrzeń publiczną epizodów, które ani wcześniej, ani

później nie miały już odegrać tak znaczącej roli. Dyskursywny charakter refleksji o przeszłości ukazany na takim przykładzie jest wyjątkowo dobrze widoczny, lepiej niż w przypadku głębiej zakorzenionych tradycji historycznych¹. Te ostatnie zdążyły już obrosnąć interpretacjami naukowymi i ujęciami artystycznymi, które — nawet jeśli krytykowane i odrzucane — nadają kierunek kolejnym próbom interpretacji. W przypadku roku 1919 ta otoczka okazała się wyjątkowo szczupła, a pole do popisu dla późnych mitotwórców stosownie szerokie. Do najciekawszych partii książki Pétera Apóra należą te pokazujące, jak taki właśnie uprzednio mało znaczący epizod może się stać pryzmatem, poprzez który przez kilkadziesiąt lat patrzono na całą historię Węgier.

Maciej Górny
(Warszawa)

¹ W przypadku węgierskim byłyby to tradycje św. Stefana oraz rewolucji 1848–1849 r., analizowane w kontekście analogicznym do omawianej pracy przez Árpáda von Klimó, *Nation, Konfession, Geschichte. Zur nationalen Geschichtskultur Ungarns im europäischen Kontext (1860–1948)*, München 2003.